Bezpłatny dodatek do Nr 86. „Głosu Narodu"

TYDZIEŃ KULTURALNO-LITERACKI

Nr 13 Kraków, sobota, dnia 27 marca 1937 r. Rok II

MACIEJ SZUKIEWICZ

AUTOR POLSKI W POSZUKIWANIU POLSKIEGO TEATRU

Toczy się w prasie dyskusja na temat kryzysu teatru w Polsce. Sądzimy tedy, że dobrze będzie, gdy czytelnicy zaznajomią się z poglądami świetnego poety i autora dramatycznego, M. Szukiewicza, na jedno z szeregu zagadnień w tej dziedzinie: na sprawę repertuaru polskiego i zagranicznego w naszym teatrze. Poglądy te wypowiada Szukiewicz w przedmowie do drukującego się obecnie książkowego wydania jego dramatu: „Na wymowie". Pojawienie się ich w naszym dzienniku zawdzięczamy uprzejmości i życzliwości autora dla naszego pisma, za którą jesteśmy mu wdzięczni. — Red. „Gł. Nar."

Między życiem przed- i powojennym i pomiędzy przed- i powojennym piśmiennictwem legła taka przepaść, że publikowanie dziś utworu, powstałego na długo przed krwawym potopem lat 1914—1918 zakrawa na nonsens. To też kiedy dyrektor zakładów graficznych „Michalineum" w Miejscu Piastowym, ks. Jan Górecki, oświadczył mi się z chęcią wydrukowania mego ludowego dramatu „Na wymowie", odradzałem Mu chybio nego wydawniczo przedsięwzięcia. Atoli po chwili zastanowienia przyjąłem przyjacielską propozycję, dostrzegłem bowiem, że na dnie sprawy zgoła błahej, kryje się pewien ogólniejszy problem kulturalny. Na czym on polega? — wyjaśnię pokrótce.

FABUŁA DRAMATU.

„Na wymowie" napisałem w 1903 roku. Sytuacyjnej fabuły sztuki nie potrzebowałem wymyślać; dało mi ją życie. Sądownictwo galicyjskie b. Austrii miało w swej praktyce aż nazbyt częste wypadki, w których przez pijanego chłopa pobity do krwi arendarz doprowadzał napastnika do ruiny. Miało to swoją specjalną technikę, polegającą na cierpliwym przywarowaniu i przechodziło następujące etapy: 1) pobicie, połączone z cielesnym uszkodzeniem, 2) visum repertum, 3) skarga do sądu i przyznanie poszwankowanemu nawiązki, 4) paroletnie jej nieegzekwowanie i czekanie na narost procentów, 5) nagle, na przednówku lub po klęsce żywiołowej, zaskarżenie pretensji, kończące się dla powoda przyznaniem mu prawa współwłasności i zahipotekowaniem go na mieniu pozwanego, najczęściej na domu mieszkalnym. Brzmiało to na pozór niewinnie, a jednak wiodło zazwyczaj do katastrofy, wyekstabulowanie bowiem współwłasności, niewykonalne bez pomocy doradcy prawnego, którego chłop, póki może, unika, było dla nieświadomego ustaw Bartka czy Kuby czczą formalnością. „A niech-ta, a mnie co wadzi, że jaką-si belkę mojej chałupy przysądzą żydowi? — ze ściany mi jej przecie nie wydrze". — i na tym poprzestawał. Dzięki temu sprawa — mówiąc językiem sądowym — czas jakiś „spoczywała". Ale nie spoczywał Shyllock i nie zapominał o funcie mięsa; przez swego pełnomocnika w mieście, oczywiście współwyznawcę, wybrawszy moment, gdy pozwany nie mógł absolutnie uiścić mu się z długu, dochodził go przez likwidację idealnej części swej własności, tkwiącej w ścianach zagrody dłużnika, i wystawiał ją na sprzedaż z licytacji, na której przez tegoż samego adwokata, ukrytego za mafią „kradników"[1]), nabywał cały obiekt za byle co. Pomimo obywatelskich pouczeń, dorad i przestróg sędziów, przed którymi takie sprawy się toczyły, zarówno Bartek jak Kuba, nie przeczuwając, że perfidnie wyzyskany paragraf kodeksu może go dla małej stosunkowo przewiny pozbawić warsztatu pracy, zasypiał gruszki w popiele i w końcowym rezultacie szedł na żebry. — Wypadki takie bywały tak częste, że nie trzeba było być sędzią, ażeby znać dokładnie ich przebieg.

ŹRÓDŁO FABUŁY.

Taką to fabułę sytuacyjną przyszło mi wypełnić konfliktami charakterów. Przy odrobinie twórczej wyobraźni zadanie to nie jest zbyt trudne, z warunkiem atoli, ażeby ta twórcza wyobraźnia nie ssała z palca, lecz gruntowała się na „przeżyciu". Nie musi to być realne, osobiście zrobione doświadczenie; dość skorej do skojarzeń i dopełnień obserwacji. A tej miałem spory zasób. Letnie wywczasy 1902 roku spędziłem we wsi Hyżne w powiecie rzeszowskim jako gość tamtejszej poczmistrzyni. Dzień w dzień schodziło się do niej mnóstwo ludzi po radę lub informacje, a przy tej sposobności spowiadało z trosk i kłopotów, nadziei i zawodów, radości i zgryzot. A że im bliżej pługa, tym mniej maskowania się i obłudy, więc starczyło miesiąca, ażebym życie całej wsi poznał z bliska i dokładnie.

JĘZYK DRAMATU.

Po powrocie do miasta na zimowe leże 1902/03 rozbiłem fabułę na akty, konflikty charakterów ująłem w dialogi i spisałem je w języku literackim. W literackim nie dlatego, że wieś Hyżne leżąc na pograniczu językowym między Lachem i Rusem, wcale nie mazuruje i prawie, że nie zna gwary, lecz dlatego, że liczyłem się ze słuchaczem i czytelnikiem językowo ukulturowanym, którego nuży słuchanie lub czytanie utworu, zredagowanego konsekwentnie w gwarze, a już wprost drażni, jeśli tę gwarę poda mu się w pisowni fonetycznej, jak to zrobił autor „Marcyny", p. Juliusz Kędziora. Chciałem przy tym osiągnąć inne jeszcze cele; po pierwsze: ażeby — nie znając dostatecznie dokładnie gwar polskich — nie popełnić lingwistycznej gaffy w rodzaju osławionego „bych" w Reymontowskich „Chłopach"; po wtóre: ażeby przez leciuchne tylko sprószenie tekstu wyrażeniami gwarowymi przypominać jednak czytelnikowi raz po raz, w jakim środowisku toczy się akcja; po trzecie: ażeby — o ile by rzecz poszła na scenę — nie podsuwać aktorowi fonetycznych zjawisk gwarowych, których on przeważnie zupełnie nie rozumie i nie wyczuwa. Toć nie byle gdzie, jeno na scenie Teatru Słowackiego w Krakowie i w ustach rutynowanego aktora (co prawda semity z urodzenia) słyszałem raz takie fonetyczne horrendum jak wyraz „morze" (zbiorowisko wód) wygłoszone „mozie"!!!

SCENICZNE REPREZENTACJE „NA WYMOWIE".

Gdzież jednak w tym wszystkim jest „problem kulturalny", który — rzekomo — wiąże się z drukiem w książce mego dramatu? Owszem, związek taki istnieje i wykażę go, skoro przejdziemy do kwestji scenicznej sztuk reprezentacji.

Pierwszy spośród teatrów polskich zagrał „Na wymowie" Teatr hr. Skarbka we Lwowie. Jakie były priora i okoliczności tej premiery, opowiem — jeśli mi życia starczy — innym razem i gdzie indziej; tu po przestanę na stwierdzeniu, że mimo dobrych chęci dyr. Hellera, który się do sztuki nie żartem zapalił, sztuka padła. Nawet dość sromotnie. Złożyło się na to parę przyczyn, w pierwszej jednak linii zasadniczo mylne ujęcie przez aktorkę roli Maryny, która z postaci, dźwigającej na sobie cały ethos sztuki, zrobiła wiejską ladacznicę, wcale nie lepszą od pasierbicy Jagi. Takie postawienie postaci dramatu mogło i musiało zmylić recenzentów. To też wytykając autorowi raz po raz naśladownictwo Reymonta, odmówili sztuce wszelkiej wartości, a jeden z nich — był nim dzisiejszy senator p. Feliks Gwiżdż — recenzję swą rozpoczął w ten sposób: „Psia krew — prostytucja — ciemnota — jezuityzm — łajdactwo — złodziejstwo — sznur i nareszcie noworoczna gwiazdka[2]). Aż tyle zobaczył p. Szukiewicz na wsi i z tym pospieszył na scenę. Chłopu o nic nie idzie, jeno o brzuch i kieszeń, jeno o ten od wielu lat płatający się po dramacie „gront". Ciemnota? — niechże będzie najciemniejsza, temperament? — to już po chłopsku ognisty, do krwi rozlewu doprowadzający, topór? — to już największy, sznur? — to już wytrzymały, żeby się „trefunkiem" nie przerwał. I tak w kółko aż do znudzenia, aż do obrzydzenia"[2]). Ozwały się jednakże już i wtedy sądy o sztuce korzystne. Redaktor „Przeglądu", Ludwik Masłowski, krytyk bystry i wymagający, zauważył w swej recenzji (18. X 1907), że „Na wymowie" nie okradło nic Reymontowi, a lwowski koresponden Feldmanowskiej „Krytyki", zdając relację z całorocznej kampanii teatru lwowskiego, dostrzegł w utworze poważne walory artystyczne. Wszystko to jednak nie mogło zmienić faktu, że sztuka na razie przepadła z kretesem.

Blisko w dwa lata potem zjawił się u mnie p. Zelwerowicz z tym, że, mając objąć dyrekcję teatru w Łodzi, układa repertuar i rad by w nim zamieścić którąś z moich sztuk. Zaproponowałem mu dwie: „Po szarym dniu słońce" (sztukę, której akt czwarty przerobiłem później i przechrzciłem ją na „Przedwiośnie"), oraz „Na wymowie". Po zapoznaniu się z obiema p. Zelwerowicz pierwszą odrzucił, natomiast z pewną dozą entuzjazmu wziął drugą i zagrał ją w Teatrze „Victoria". W kapitalnej obsadzie. Śp. Siemaszko jako Budyka, p. Żmijewska jako Maryna zagrali rzecz koncertowo i sztuka — chłopska sztuka na scenie niemiecko-żydowskiego przeważnie miasta! — poszła przy wyprzedanej widowni 10 razy z rzędu i miała zarówno w polskiej, jak zwłaszcza niemieckiej prasie nader pochlebne recenzje. Tak samo a bodaj jeszcze korzystniej oceniła sztukę prasa rosyjska, gdy Zelwerowicz zjechawszy ze swą trupą do Petersburga, dał szereg wzorowych reprezentacyj. Dało mi to pewne zadośćuczynienie za te cięgi, którymi mię obdarzyli rodacy, ale — jak kolwiek Teatr Odrodzony na Pradze pod dyrekcją Turowiczówny, w dobrej obsadzie i starannie sztukę znów zagrał (8. VII 1926) — nie zdobyła już ona rangi „pozycji" w rodzimym dorobku dramatycznym, którym „Na wymowie" mimo wszystko jest i pozostanie, choćby panowie P. T. Recenzenci domorosłego chowu i pokroju jeszcze kilka szaflików pomyj na nią wylali.

Skądże to dobre o sobie mniemanie, ba! pewność nieledwo? Wypada mi się z tego wytłumaczyć.

TWÓRCZOŚĆ—LITERATURA—REPORTAŻ.

Na zjawisko, które obejmujemy mianem piśmiennictwa, przydałyby się nam dwa odrębne terminy. Jeden na grafemami utrwaloną treść duchową jednostek, udzielających ze sobie otoczeniu własnowiedze t. zn. im tylko właściwe stany świadomości odkrywczego intellektu, zgodnego w nich całkowicie z sensytywą; drugi na podobnież utrwa-

[1]) Hałastra licytantów, niedopuszczająca innych oferentów do głosu a nawet do wnętrza hali licytacyjnej i nie wychodząca w swych zaolarowaniach poza pewną, z góry między sobą umówioną kwotę, nic lub mało co przekraczającą kwotę wywołania.

[2]) Pierwotnie kończyło sztukę pojawienie się w oknie, przez które Maryna wzywa ludzi na pomoc, paru wyrostków „z gwiazdą" i śpiewami. Osłabiało to grozę ostatniej sceny i psuło zakończenie całości, zostało też z dalszych reprezentacyj usunięte.

Dokończenie na str. 2).

Napisała ANNA TUROWSKA

Chrystus Zmartwychwstał

Noc ciemna i cicha nad światem zawisła —
Noc bez ech, bez westchnień, bez szmeru człowieka,
Tylko ziemia w łonie swym tajemne drganie
Poczuła — i w cieniach nadzieja jej błysła...
I słuch wytężyła i bez tchu już czeka...
Ach, to dziś Chrystus zmartwychwstanie!

A w morzu tych cieni, wielka gwiazda złota
Zabłysła na wschodnim, dalekim, nieb krańcu,
I płonie, jak widzeń wiekuiste raje — —
To kościół, tam z jękiem pieśń wiary się miota,
I drżą serca maluczkich w modlitwy różańcu —
Bo tam dziś Chrystus zmartwychwstaje!

A w morzu tej ciszy, rozhukana fala
Wdziera się nagle, dźwięków spiżowych nawałą
Zda się w świat wpadła jasność wiekuistych chwał —
Cisza szumi i śpiewa i cień się rozpala —
I woń niebiańskich tchnienie ogromne powiało...
To Chrystus z martwych wstał!

Zmartwychwstał!....
do pracy poszli — zamilkły dzwony — — —
Tylko po Nim dym gęsty kadzideł się mieni,
Tylko jasna szata wiosny się została...
A człek, co Go jeszcze gdzie spotka, zdziwiony
Nie pozna..... bo bez pieśni idzie i promieni....
I pyta: „Panie, gdzież Twa chwała?"

Autor polski w poszukiwaniu polskiego teatru

(Dokończenie ze str. 1).

łone, ale obcowłasne t. zn. od poprzednich przejęte, podpatrzone, podsłuchane i t. p. myśli i uczucia. Do pierwszej kategorii należą zakonodawcy i filozofowie oraz wielcy artyści słowa-idei; do drugiej tacy jak ja pisarze tj. wielotysięczna „misera plebs" wszelakich skrybów, którzy biorąc na swe krosna dorobek pierwszych i conajwyżej wsnuwając weń jakąś własną niteczkę, opisują w milionowych kombinacjach to tylko, na co patrzą. Pierwsi — tworząc — kształtują życie ludzkości; drudzy — pisząc — robią literaturę. „Sub specie aeternitatis" ta druga kategoria, kategoria skrybów, nie bogacąc życia i tylko je przeżuwając, mogłaby wcale nie istnieć, a owoc ich działalności, belletrystykę, możnaby bez żadnej dla świata straty zniszczyć.

Ale tu zjawiłby się dość poważny szkopuł. Literatura jest reportażem ze zdarzeń i nastrojów przemijającego bezpowrotnie dzisiaj i przekazywaniem ich dalekiemu jutru. Toć gdyby nie epigramy pieczeniarza Marcjalisa, a u nas fraszki sobiepana Wacława Potockiego, nie wiedzielibyśmy jak się żyło w Rzymie I, a w Polsce XVII wieku. Jeżeli tedy przyznamy historii — choć nikt cudzym doświadczeniem nie był, nie jest i nie będzie mądry — istotną wartość dla życia, protest Klio przeciw zniszczeniu literatury byłby uzasadniony.

To, co się odnosi do liryczno-epicznych epigramatów i fraszek, przystaje jeszcze lepiej do wiernych swej epoce dramatów i ich scenicznej reprezentacji na teatrze, „którego przeznaczeniem, jak dawniej tak i teraz, było i jest służyć niejako za zwierciadło naturze, pokazywać cnocie — jej własne rysy, złości — żywy jej obraz, a światu i duchowi wieku — postać jego i piętno".

ZADANIE TEATRU I JAK JE NASZE TEATRY SPEŁNIAJĄ

Ażeby teatr tak sformułowane przez Wyspiańskiego przeznaczenie swe mógł spełnić, potrzeba pieczołowitej nad nim opieki i rozsądnej ekonomiki w zakresie repertuaru. Dramat polski pieczołowitości takiej dziś nie zaznaje; przeciwnie pada od szeregu lat ofiarą bezmyślności lub specjalnej „polityki teatralnej". Bo czyż nie dowodzi bezmyślności, że — mając własny narodowy dramat w dziełach Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Fredry i Wyspiańskiego, dramat potężny i przystający do oblicza polskiej rasy — nie zdobyliśmy się dotąd, po dwudziestu latach własnej państwowości! na stały, „żelazny repertuar" dla sceny stołecznej, z której powinien rozbrzmiewać klasyczny polski język i promieniować polskie natchnienie? Czyż nie jest głupotą, iż społeczeństwo na dorobku będące, wyrzuca krocie[5]) na prezentowanie na swych scenach obcych zupełnie naszemu życiu elukubracyj pp. Verneuil'ów, Bontempellich, Kaiserów, Bus-Feketych, Dymowów i im podobnych bazgraczów, kiedy równocześnie — obok setek wybornych nieraz, a całkowicie na śmietnik makalatury wyrzuconych jedno aktówek — marnieją utwory sceniczne Chęcińskiego, Narzymskiego, Korzeniowskiego, Faleńskiego, Zalewskiego, Przybylskiego, Łubowskiego, Ruszkowskiego, Dobrzańskiego[4]), a dziś już częściowo Blizińskiego, Bałuckiego, Rydla i tylu, tylu innych wcale nie gorszych, przeciwnie bezwzględnie lepszych od jakiejś Vicki Baum czy Werfla, przekładanych w niepolskich agencjach teatralnych przez tłumaczów, którzy z „świątyni żywego słowa" robią rozgłośnię niechlujnego języka prasy brukowej lub miejsce popisu miłych dla ich uszu, ale dla polskiego słuchacza wstrętnych „szmoncesów". Jak dalece już i w tej dziedzinie, dziedzinie kulturalnej, nie jesteśmy więcej u siebie, dowodzi incydent ze „Zburzeniem Jerozolimy" Tadeusza Konczyńskiego. Sztuka pod każdym względem tęga, napisana z wrodzonym Konczyńskiemu nerwem dramatycznym i oparta na wnikliwych studiach historycznych, skoro znajomość ludzi i epoki pochwalił w niej europejskiej sławy uczony, prof. Tad. Zieliński, złożona została dyrekcji Teatru Polskiego w Warszawie. Dyrektor Szyfman, jakkolwiek osobiście zapalił się do sztuki, nie chciał o niej sam decydować i oddał ją lojalnie swoim doradcom literackim, pp. Gorczyńskiemu i Pomirowskiemu, którzy nader gorąco polecili sztukę do zagrania, Z kolei reżyseria i dekoratornia wykonały najstaranniej wszystko, co do nich należało, reprezentacja też wypadła doskonale. Atoli prasa żydowska i pokumane z nią dzienniki polskie — jakkolwiek „Zburzenie Jerozolimy" nie ma w sobie ani źdźbła antysemickich tendencyj — rzuciła się na sztukę i autora z taką zajadłością, że rzecz zdjęto z afisza i dopiero po wystąpieniu prof. Zielińskiego, ośmielono się przedstawienia kontynuować.

„POLITYKA TEATRALNA".

Nie lepiej przedstawia się t. zw. „polityka teatralna", której na stanowisku recenzenta miałem sposobność przyjrzeć się bliżej. Obszerniejsze jej omówienie odkładam sobie na później; tu wystarczy przypomnieć głośny przed kilku laty konkurs dramatyczny m. Krakowa za dyrekcji p. Zygmunta Nowakowskiego z premiowaną na nim „Niespodzianką" Karola H. Rostworowskiego, „Wiosną ludów w zakątku" A. Nowaczyńskiego i „Samuelem Zborowskim" F. Goetla, w którym to konkursie — prócz ś. p. prof. Kallenbacha — wszystkie jego czynniki: dyrekcja, większość jury i autorowie rozminęli się świadomie z obowiązującą zawsze i we wszystkim fair-play.

Jakże więc w takich warunkach może się rozwijać rodzimy dramat polski? jak mogą przemówić ze sceny młode talenty, kiedy tę scenę opanowała albo protekcja albo zagraniczne przybłędy, forytowane przez pilnujące swego tylko interesu agentury teatralne? Książka tedy staje się niejednokrotnie jedynym refugium dramaturga polskiego i ona jedna zdolna będzie dać odpowiedź, gdy bliższe czy dalsze jutro rzuci pod adresem dzisiejszych literatów twarde pytanie: gdzież wyście byli w latach 1870—1920, gdy po trzech powstaniach Polska krzepiła się w sobie i zwolna dojrzewała do wywalczonej wreszcie niezależności politycznej? czyście dostrzegli i dali wyraz podgłębnym myślom i nastrojom, nurtującym wówczas waszą Ojczyznę? dobre chwalili a złe potępiali? czy „służyliście za zwierciadło naturze? pokazywali cnocie jej własne rysy, złości jej żywy obraz, a duchowi wieku jego postać i piętno"? Niechże wtedy za odeszłych dawno w zaświaty pisarzów odpowiedzą zadrukowane czcionką karty: owszem, nie zbywało Polsce wtedy ludzi pióra, którzy to wszystko widzieli i jak umieli dali temu wyraz, lecz niedbałe o sens teatru czynniki nie dały im spełnić ich misji. I oto pod takim kątem widzenia, gdy za lat kilkadziesiąt badacz naszych dziejów zapragnie wiedzieć jak na progu XX wieku wyglądała niesfałszowana wieś polska, jak nie znajdując nigdzie oparcia i pomocy „zalewała robaka", a popadłszy w konflikt z kodeksem, traciła ziemię na rzecz obcego intruza—jak w szponach wódki, arendarza i żandarma natury bujniejsze marzyły wzorem Maryny Budyczki o lepszej doli, o daniu kształtu drzemiącemu w nich człowieczeństwu, — jak za mękę rozstania się ze wszystkim, co serce ukochało, szły na poniewierkę za morze, byle ocalić w sobie godność ludzką, wtedy sięgnie nie po romantycznych „Karpackich górali" Korzeniowskiego, nie po czuwającą nad interesem obszarników „Emigrację chłopską" Anczyca, nie po ckliwy sentymentalizm „Dla świętej ziemi" Sewera, a tym bardziej po podszytą egotycznym kajaniem się „Klątwę" Wyspiańskiego, lecz po „Świat się kończy" Kasprowicza, po „Niespodziankę" K. H. Rostworowskiego, po „Burzę" Kędziory oraz po sztuki ludowe Orkana i wtedy znajdzie się wśród nich także właściwe i należne miejsce dla „Na wymowie". W tych sztukach bowiem, mniej czy więcej udolnie pochwycone in flagranti, pulsuje tętno dążenia do „ślebody", do której tęskni we „Franku Rakoczym" wiejska biedota, pulsuje wola wdarcia się na wyższy poziom kultury i odegrania w odrodzonej Polsce tej roli, jaka się należy trzem czwartym ludności, dobywającej pługiem z ojczystej ziemi lepsze jej jutro, — ta sama tęsknota, która przyświecała niestrudzonej a jakże nikczemnie skopanej działalności X. Stojałowskiego a dziś przyświeca Wincentemu Witosowi i tym wszystkim, co u kopca bohaterskiego Pyrza znaleźli się w Nowosiełcach. Tylko wysiłek ich twardej garści może zapobiec, ażeby ziemia naszych ojców została przy nas, a nie przechodziła w ręce obce, często wrogie naszej tradycji i kulturze. Jeżeli w jednym tylko 1935 r. w ręce obce przeszło w samym tylko województwie lwowskim 300.000 hektarów najurodzajniejszej ziemi i takie wypieranie nas z ojczystych pieleszy pójdzie dalej w tym samym tempie, może nadejść dzień, w którym wyparte ze swych odwiecznych siedzib niedobitki narodu — jacyś drudzy sascy Łużyczanie — zapytają: jak się to stało, żeśmy na własnej ziemi w obcą popadli zależność i nieledwo w niewolę? to jedną z odpowiedzi na to pytanie znajdą w akcji i sytuacjach dramatu „Na wymowie".

I oto dowód, dla którego zgodziłem się, ażeby sztuka ta w trzydzieści przeszło lat po jej napisaniu ukazała się w książce.

[4]) jak wielkie w ich sztukach tkwią jeszcze dotąd wartości teatralne, dowodzi wskrzeszony przez p. Osterwę „Fircyk w zalotach" Zabłockiego, który wypełnił z górą sto kilkadziesiąt dochodowych wieczorów, dowodzi omieciona z pajęczyn przez p. Wysocką „Panna mężatka" Korzeniowskiego, która wypełniła sale teatralne różnych miast kilkadziesiąt razy, dowodzi Kazimierza Zalewskiego „Przed ślubem", która dała po wznowieniu jej w krakowskim teatrze trzydzieści kilka dobrych wieczorów, a nawet taka słabiutka komedia jak Jordana „Myszy bez kota", wydobyta z lamusa przez Grzymałę-Siedleckiego, poszła za jego dyrekcji przez szereg wieczorów. — Ale na to trzeba, ażeby dyrektorowie teatru mieli zrozumienie jego misji i ambicję istotnych budowniczych rodzimego teatru i dramatu, której nie posiadają.

[5]) Mały stosunkowo Kraków w budżecie na rok 1936, więc po restrynkcjach i heroicznym skomprymowaniu samorządowych wydatków, wyasygnował i wydał na teatr Słowackiego 258.000 zł.! Ten sam Kraków przed kompresją budżetów miewał w pozycji „teatr" po 350.000 zł., nie będzie więc przesady, gdy przyjmiemy, że za wolnej Polski wydał trzy do czterech milionów złotych!

K. H. ROSTWOROWSKI

Bolączki, jakich wiele

Człowiek chory, który miesiącami nie opuszcza mieszkania, ma prawo się poskarżyć. Skorzystam z tego prawa i zwierzę się Czytelnikom z kilku mniej lub więcej dotkliwych bolączek. Nie chodzi mi o płuca. W sześćdziesiątym roku ustawicznego oddychania wolno im strzępić się i skrzypieć. Nie chodzi mi o serce. Dopóki jako tako się tłucze, spełnia swoją powinność. Chodzi mi wyłącznie o głowę, którą straciłem pod przymusem. Doprowadzono mnie do tego, że nie: „nic nie wiem", jak Sokrates, ale już nic nie rozumiem, jak pierwszy lepszy bałwan.

Bo proszę:

Kiedy byłem pacholęciem, brałem po łapach za pisanie „temi słowami", lub „tymi dziećmi". Pamiętaj ośle jeden — prostowano moje ścieżki — że w rodzaju męskim pisze się „ymi" a w nijakim „emi". W latach późniejszych najwięcej kłopotu miałem z kobietami. Specjaliści językowi, opierając się widocznie na popularnej niegdyś aryi, później arji, obecnie arii z Rigoletta „Kobieta zmienną jest", wlepiali mi „lufy" naprzemian za „tymi", i za „temi". Wreszcie dwa (czy trzy) lata temu sprawa została definitywnie ustalona. Rozstrzyga zaimek wskazujący. Jeżeli w pierwszym przypadku liczby mnogiej wskaże na rzeczowniki mówiąc „te", to bez względu na rodzaj tych rzeczowników należy w szóstym przypadku pisać „temi". Jeżeli zaś wskaże mówiąc „ci", to „tymi".

Odetchnąłem. Jasne, proste, załatwione.

STANISŁAW PIGOŃ

KARTKI Z PAMIĘTNIKA

Z austriackimi moździerzami na forty belgijskie 1914 r.

Autor tych „kartek" zaraz w sierpniu 1914 r. został przydzielony do obsady jednej z bateryj 30.5 cm. moździerzy, wysyłanych przez Austrię w pomoc sojusznikowi na front belgijski i francuski. Dwie takie baterie (nr 3 i 4) wyjechały z Krakowa dn. 13 sierpnia przez Wrocław, Drezno, Kolonię do Belgii. — Podane poniżej fragmenty wyjęto ze współczesnego pamiętnika, pisanego jużcić nie dzień w dzień, ale co najmniej tydzień w tydzień; fakty i wrażenia notowano więc w nim na świeżo. Nie jeden z sądów wypadłoby sprostować już w parę miesięcy później. W szczególności o bohaterskiej sile odpornej Belgów.

Rankiem dn. 19. VII wjechaliśmy na stację Chenée. Jest to miasteczko leżące w obrębie zdobytej przed paroma dniami twierdzy Liège. Już ze stacji pokazywano nam w paśmie wzgórz okolnych zestrzelane mocno ruiny fortu; nieopodal kościółek z rozwaloną przez granat wieżą. Miasteczko samo ocalało bez dużej szkody, ale jakby wymarło; puste ulice, domy pozamykane, tu i ówdzie tylko otwarty sklepik. Nieliczni spotkani mieszkańcy patrzą ponuro.

Żołnierze niemieccy mówią nam o grasujących ponoś w okolicy „franctireurach", przestrzegają przed nimi narożne ogłoszenia komendanta miasta. Jeszcze wyraźniej mówią złożone obok warty stacyjnej resztki broni: proste staroświeckie kapiszonówki, odtylcowe flinty myśliwskie, trafiają się nawet manlichery, przeważnie z pogiętymi lufami, potrzaskanymi kolbami. Na jednej ze strzelb przyschnięta świeża krew. Wszystko to zdobyto w niedawnych walkach ulicznych. Tak, to już kraj „nieprzyjacielski".

Nieprzyjaciel osobliwy. „Winą" tego narodu było, że istniał i że stał w drodze. Przewala się więc nad nim burza przemocy, tratując kraj i miażdżąc ludzi. Przyniesie mu to, być może, niewolę, śmierć polityczną. Nie pierwszemu w Europie.

Nie umiem wzbudzić w sobie „świętego oburzenia" na tępionych z zaciekłością przez oddziały niemieckie „franctireurów" belgijskich. Zapewne, niemiła to perspektywa oberwać kulą zza płota czy z zarośli. Ale cóż... Na cudzoziemski ten wyraz mamy stare, dobrze uchu polskiemu znajome słowo: partyzant. Boć Belgia naprawdę prowadziła, czy prowadzić chciała, dwie wojny: regularną i partyzancką. Wskutek przeraźliwie nieproporcjonalnej przemocy niemieckiej nie powiodła się ani jedna ani druga. Zresztą i to wojsko belgijskie — Boże się pożal — marnie kształcone przez lichych bodajże oficerów, nie widać jakoś, żeby się zdobywało na brawurę odporu. Partyzantki zaś w szerszym stylu nie było ani komu, ani kiedy zorganizować. Nie zdaje się, żeby się Belgia zdobyła na swego Andrzeja Hofera.

A materiał ludzki był! Właśnie w Chenée widzieliśmy garstkę tych „partyzantów", — już jeńców. Spędzono ich w ciasną izbę magazynu kolejowego jak trzodę. Byli wśród nich starcy, byli chłopcy nieletni, ale większość w wieku żołnierskim. Czekali w owym magazynie na śmierć. Na drugi dzień miano ich rozstrzelać.

Nie, zohydzić sobie widoku tych „morderców" ni ich czynu nie mogę[1]). Twarz jednego z owych chłopców widzę jeszcze wciąż przed sobą. Nie do zbója, ani nie do tchórza należały te harde oczy. Myślę, że o cześć ich pamięci upominać się będą pokolenia następne, jak my się upominamy o cześć zarosłych już mogił powstańczych 1863 r. I nic to, że sprusaczony żyd śmie im dzisiaj zarzucać, jakoby rżnęli śpiących[2]).

W Chenée kończyła się nasza jazda koleją; trzeba było wyładować baterie, auta, amunicję i t. d. Wyładowanie to, sprzężenie wozów w jednostki trasportowe, zestawienie całej kolumny automobilowej na stacyjce ciasnej, przy prowizorycznych rampach, — zajęło cały dzień. Bateria sama odjechała nad wieczorem, część wozów z amunicją była gotowa do odjazdu, reszta musiała czekać na auta pociągowe, które odwiózłszy działa, miały wrócić raz jeszcze.

Dostała mi się komenda nad częścią pozostawioną. Że miejsca na stacyjce było mało, wyjechałem z oddziałem za miasto, a niezaopatrzony w mapę, nie znając drogi, postanowiłem przeczekać noc w szczerym pustkowiu, póki nie wrócą potrzebne auta. Pozaciągałem warty, reszta załogi próbowała drzemać. Ułożyłem się i ja na wozie z bombami; tę spod głowy, a zwłaszcza tę spod grzbietu będę długo pamiętać.

Przyszedł nareszcie upragniony ranek 20 sierpnia, a z nim ciąg dalszy jazdy. Szybko przejechaliśmy przez nieszczęsne Liège, po czym prawem brzegiem Mozy przez Huy spieszyliśmy pod Namur. Ten, otoczony już przez wojska niemieckie, stawiał jeszcze opór. W Huy skręciliśmy w lewo od rzeki, na Ohey, i za wsią Haute-Arche wkopaliśmy nasze moździerze przeciwko trzem fortom, leżącym w kolanie Mozy na południowy-wschód od miasta.

Tu wypadło nam po raz pierwszy spróbować dział naszych na ostro. Dn. 21 VIII o godzinie 11 w południe otwarła bateria ogień na fort d'Andoy.

Staliśmy w Haute-Arche dni cztery. Sporo zostało stamtąd wrażeń z samej okolicy i z toczących się koło nas wypadków.

Tu po raz pierwszy zobaczyłem niemiecką metodę zwalczania franctireur'stwa. We wsi strzelono — podobnoś z okna — do jednego z naszych żołnierzy, który też otrzymawszy

[1]) R. Rolland w porę przypomniał Niemcom, tak zapamiętali tępiących franctireur'stwo, ich „prawo o wojnie ludowej" z 21 IV, 1813, nakazujące obywatelom „brać udział w walce z widłami i toporami, przez podstęp, oszukaństwo, przez niszczenie wszystkich środków do życia, burzenie domów, przez bohaterską obronę każdej wsi, każdego miasta". — Tamto było bohaterstwem budzącego się narodu; to tutaj w Belgii — zbrodnią?

[2]) Zob. „Zukunft" Maxa Hardena, 1914, t. IV, z. 3, str. 79.

Tymi mężczyznami, temi kobietami, tymi uczonymi, temi osłami.

Nagle katastrofa! W pięćdziesiątym dziewiątym roku życia i po 25 latach zbożnej pracy na niwie literackiej, co słowo to lufa! Temi osłami — źle! Temi kobietami — źle! Ba! nawet odwiecznie „temi dziećmi" — źle! — „Ym, ymi" bez zwracania uwagi na głos zaimków wskazujących. W rezultacie i dawanie mi po łapach i późniejsze stawianie mi luf było krzyczącą niesprawiedliwością, bo pisząc w r. 1887 „temi stołami" pisałem zgodnie z przedostatnią, pisząc „tymi dziećmi" zgodnie z ostatnią uchwałą autorytetów wchodzących wskład Komitetu Ortograficznego P. A. U., w stosunku zaś do kobiet byłem kolegą wymienionych autorytetów, bo czy tak, czy siak trafiałem zawsze w sedno, czyli w ortograficzne Rigoletto: „temi", potem „tymi", potem „temi" a potem znowu „tymi". W języku ruletowym nazywa się to intemittence. Czarne, czerwone, czarne, czerwone, ale nie mam pojęcia, jak się to nazywa w języku naukowym.

My, zwyczajni śmiertelnicy żądamy logicznego uzasadnienia. Ułatwianie pisowni przez wzgląd na hebesów nam nie wystarcza, bo idąc po tej drodze można dojść do „fhutu" (od fhut), lub do „fszechnicy". A cóż dopiero, jeżeli to ułatwienie płodzi dwuznaczniki, pożerające jasność wysłowienia? Słusznie zapytał prof. Pigoń, co należy obecnie rozumieć przez mickiewiczowskie „czym śpiewak dla ludzi"? „Czy jestem śpiewakiem dla ludzi", czy też: „Czem jest śpiewak dla ludzi". Albo: byłem w towarzystwie i rozmawiało się „o tym i o owym". Przedmiocie? Bliźnim? Czy też o rozmaitych, bliżej nieokreślonych tematach? — A jeśli chodzi o logikę, to pytam, dlaczego po zastąpieniu „tem" przez „tym" mamy nadal pisać (więc i mówić) „potem" (a nie „po tym"), gdy chodzi n. p. o wstąpienie potem do kawiarni? Bo by się nie przyjęło? Niema (pardon! „nie ma", ciekaw jestem kto) strachu. U nas wszystko się przyjmie. I Maryja, i Marya, i Marja, i Maria, i fonetycznie słuszna manja, i przywrócona do życia mania (której drugi przypadek liczby pojedyńczej powinien wobec tego brzmieć „mani", jak: bani, łani, kani) — u nas przyjmuje się „z kolei", i „skolei", i powrót do „z kolei", i tryumf, i triumf, i znowu tryumf — przyjmuje się wszystko, bo lubimy ustawiczne zmiany, ustawiczne przewroty, odwroty i nawroty. To też możliwe, że niebawem, znudzi nam się mówić o tym i o owym, oraz nie robić dźwiękowej różnicy pomiędzy Maniami przez wielkie „m" i maniami przez małe „m" i że znowu zbierze się Komitet Ortograficzny, który — Übung macht Meister — każe nam zmieniać Marię na... Maryję, w razie zaś protestu: „siadaj!"

Ba! Ale gdzie. Z prawej, czy z lewej strony?

O to druga bolączka: zatarg o ławki w uczelniach. Bolączka, bo znowu nic a nic nie rozumiem.

Od dziecka kładziono mi w uszy, że żydom nie wolno mieszać się z innymi narodami w myśl nakazu: „Nie weźmiesz z nimi przymierza ani się małżeństwy z nimi złączać będziesz", (Deut. 7,2), „i będziecie mi świętymi, bo święty jestem ja Pan, i odłączyłem was od innych ludów, abyście byli moi" (Lev. 20,26). Od dziecka kładziono mi w uszy, że rodak powinien być najbliższy mojemu sercu i że dlatego powinienem się najlepiej czuć w jego towarzystwie. Wreszcie wpajano we mnie zasadę, że człowiek przyzwoity nigdy się nikomu nie narzuca. Dlaczego więc żydzi chcą koniecznie brać przymierze z wszechpolską młodzieżą, dlaczego w salach wykładowych stronią od rodaków i dlaczego chcą koniecznie siedzieć obok niechętnych im przedstawicieli innych ludów, chociaż poza murami uczelni żydowska solidarność budzi powszechny szacunek, podziw, i — co to dużo gadać — uzasadnioną zazdrość?

Nie rozumiem. Przecież w czasie n. p. studiów w Niemczech, nigdy nam — wiecznie zwaśnionym Polakom — nie przychodziło na myśl żądać od Niemców, żeby mieszali się z nami, bo w przeciwnym razie zasłużą na miano zbirów spod najciemniejszej gwiazdy. Wiedzieliśmy, że nas nie lubią, oni wiedzieli, że my ich nie lubimy — szanowaliśmy naszą wzajemną niechęć — nie „grzecznie ale z daleka", lecz „grzecznie, bo z daleka" — i był spokój. Tym czasem żydzi...

Nie tylko żydzi.

Również nie rozumiem — i to mnie najwięcej boli — jak mogła młodzież wszechpolska zapomnieć o staropolskiej gościnności. Gdyby zaliczała żydów do rodziny, to nie mówię. Kto się lubi, ten się czubi. Ale młodzież wszechpolska uważa żydów za gości i to w dodatku nie lubianych. Skoro tak, to odstąpienie żydom osobnych ławek jest w porządku. Odgrywają niejako rolę gościnnych pokoi. Ale nie jest w porządku sadzanie żydów po lewej stronie. Któż tak robi? Wiadomo przecież, że gościa się honoruje dając mu pierwsze miejsce przy stole, czyli po prawicy gospodarza. W przeciwnym razie gość słusznie kręci nosem. Otóż w tym wypadku sala wykładowa powinna być jednocześnie pokojem gościnnym i biesiadnym stołem. Młodzież wszechpolska powinna rzec: „szanowni państwo: pragniemy, żebyście się czuli jak w domu. Raczcie tedy usiąść po naszej prawicy — oto ławki oddane wam do dyspozycji". Gdyby żydzi zaczęli sarkać, że chcą wszędzie, albo że tych ławek za mało, to odpowiedź byłaby bardzo prosta: Każdy dom ma swoje rezerwaty a na więcej niestety nas nie stać, bo i my rozmnożyliśmy się jako piasek morski. A gdyby i te argumenty nie skutkowały, ha... wtedy... wolnoć Tomku w swoim domku — jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie...

Przysłowia są mądrością narodów.

IGNACY CHRZANOWSKI

Mickiewicz w więzieniu

(od 23. X. 1823 do 3. V. 1824 [1]).

Jaki wpływ wywarło na życie duchowe Mickiewicza więzienie w klasztorze Bazylianów w Wilnie, tego dokładnie nie wiemy z powodu szczupłej liczby wiarogodnych świadectw. Dwa najwiarogodniejsze pochodzą od samego Mickiewicza: jedno — późniejsze, już z Rosji (w liście do Czeczota), drugie — współczesne, z więzienia.

Pierwsze brzmi: „Ja zacząłem być wesół u ojców Bazylianów". A więc to, co niektórzy biografowie opowiadali o „torturach moralnych" w więzieniu, jest zmyśleniem (jednym z wielu).

Dzięki mile widzianym przez straże więzienia łapówkom, więźniowie mogli się zbierać w tej lub innej celi, zwłaszcza nocami, gwarzyć, dowcipkować, śpiewać, improwizować wierszyki itd. W ogóle pobyt w więzieniu był Mickiewiczowi nie tyle udręczeniem, ile raczej ulgą — po przejściach miłosnych i po ciężkiej pracy nauczycielskiej w Kownie.

Drugim własnym świadectwem Mickiewicza jest jego wiersz, napisany w więzieniu w przeddzień nowego roku 1824, a będący wyrazem przejściowego zniechęcenia:

I czegóż więc w tym nowym roku będę żądał?
Samotnego ustronia, dębowej pościeli,
Skądbym już ani blasku słońca nie oglądał,
Ni śmiechu nieprzyjaciół, ni łez przyjacieli.

Tam do końca, a nawet i po końcu świata,
Chciałbym we śnie, z którego nic mnie nie obudzi,
Marzyć, jakem przemarzył moje młode lata,
Kochać świat, sprzyjać światu, zdaleka od ludzi.

Jedną z przyczyn, wywołujących takie zniechęcenie, były zapewne ustawiczne badania, którymi dręczyła więźniów komisja śledcza, żądając odpowiedzi na takie np. podstępne pytanie:

„W jakiej treści czytane były mowy" (na posiedzeniach filomackich)? „Czy się zawierała (w nich) próżność myśli waszych o szczęściu zgasłej już Ojczyzny i czy ona wyprowadzała was z przyzwoitych granic?" Odpowiedzi, i to jeszcze piśmienne, musiały być wykrętne! Co więcej trzeba było jeszcze zapewniać komisję śledczą, że „czuliśmy i czujemy najszczerszą wdzięczność Monarsze za dobrodziejstwa, na nasz naród zlane, i nigdy nie naruszyliśmy winnego Rządowi uszanowania i podległości".

Kiedy się czyta w tych słowach zaprotokółowane zeznania Mickiewicza, mimowoli przychodzą na myśl jego słowa — z późniejszego wiersza „Do przyjaciół Moskali".

. . . . pókim był w okowach,
Pełzając milczkiem, jako wąż, łudziłem despotę.

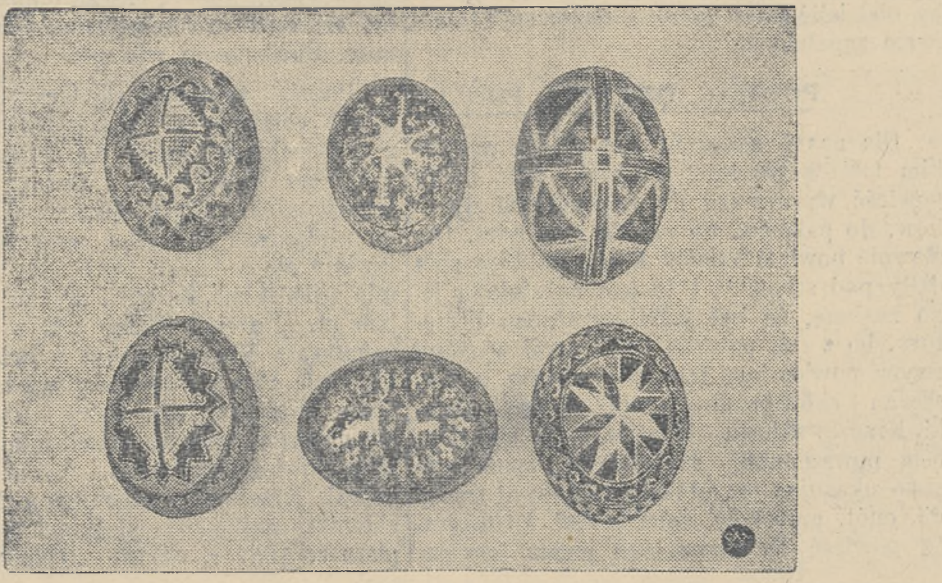
I oto więzienie stać się musiało kolebką Konrada, ale jeszcze nie Konrada z trzeciej części „Dziadów", tylko tego Konrada, który powie sobie później: „Trzeba być lwem i lisem", i który nawet zbawienie własnej duszy poświęci dla wybawienia Ojczyzny z pęt niewoli, to znaczy — Konrada Wallenroda.

Tak, wolno mniemać, że już w więzieniu, w chwilach samotnych rozmyślań nad swoim przeszłym życiem, postanowił sobie Mickiewicz, że zapomni o sobie, i żyć będzie dla Ojczyzny. Postanowienia takie byłyby, z jednej strony, w duchu nauki moralnej Oświecenia, która Staszicowi np. kazała za swoje własne szczęście poczytywać jedynie szczęście ogółu, a którą przejęli się filomaci, z drugiej zaś strony, pozostawałyby w ścisłym związku z tym przewrotem religijnym, jaki się w duszy Mickiewicza dokonał w Kownie: pamiętać bowiem trzeba, że człowiek, odradzający się religijnie, rozpamiętuje swoje dawne życie, na myśl o nim doznaje wyrzutów sumienia czyli uczucia **grzechu**, a jeśli ma naturę tak **czynną**, jak Mickiewicz, to pragnie grzech odkupić **w nowym** życiu — **czynem**.

Lecz nie wiedział jeszcze podówczas Mickiewicz, że jeszcze przez długi czas jego czynem dla Ojczyzny będzie jedynie jego poezja — poczynając od „Konrada Wallenroda", który (raz jeszcze) urodził się w więzieniu wileńskim, a dojrzał w Rosji.

[1]) Jest to urywek z książki, nad którą obecnie autor pracuje p. t. „Historia Literatury Polski Porozbiorowej". (Przyp. Red.)

PISANKI HUCULSKIE



JÓZEF BIRKENMAJER.

Refleksje

Za lat pięćdziesiąt, sto i dwieście,
Gdy nowe przyjdą pokolenia,
Powiedzą do nas: „Wy jesteście
Już starzy — godni zapomnienia.

Już nowe życie bije w świecie,
W ludzkości nowe biją prądy;
Wasze pomniki — to rupiecie,
Wasze wierzenia — to przesądy.

Dziś nowy sen się w świecie ziszcza,
Świat waszych natchnień słuchać przestał,
Nowe posągi i bożyszcza —
My dziś stawiamy na piedestał..."

Tak o nas młodzi wnet powiedzą,
Lecz dziś nam jeszcze wolno mówić,
Że z ciebie — sztuko, z ciebie wiedzo,
Zdołamy wian niezwiędły uwić...

ciężką ranę w biodro, niedługo potem zmarł. Powiadam „podobnoś", bom sam nie widział, wiem zaś, że kucharz naszej baterii polował koło wsi na kury, posługując się przy tym karabinem. Czy to nie jego kula zabłąkała się w wieś? Nie widziałem.

Widziałem za to pomstę. Niemiecka załoga wsi, powołując się na rozkaz swego oficera — pohulała. Samosąd, poprostu mówiąc: rabunek, zaczął się koło południa. Do samego wieczora polami, koło naszej baterii, przechodzili po jednemu, po dwóch, żołnierze niemieccy, snać z oddziałów rozmieszczonych po okolicy; szli z „łupem" w koszach, na ramionach, pod pachami. Czego tam nie było! Chleb, butelki wina, płótno, zegar ścienny, jakieś liche, odpustowe ozdoby pokoju: to blaszany wazon na kwiaty, to szklanka malowana i t. p. Dobrodusznie pokazywali zdobycz, przechwalali się nią, nie szczędząc szczegółów o okolicznościach zdobycia łupu.

Do pracy owej w wiosce, ile że się przeciągała, poświecono sobie pożarem. Zaraz na początku ekspedycji karnej podłożyli żołnierze ogień pod kilka domów; gasić nie było komu, bo ludzie się rozbiegli w popłochu, gasić zresztą nie pozwolono. Podpaliwszy domy, strzelano do uciekających. Kilkunastu mieszkańców wsi opłaciło życiem ów jeden nieszczęsny strzał. A w nas tępiała już wrażliwość na przewalające się okropności wojny. Mogłem zasnąć zwyczajnie, twardo, choć o jakie 200 kroków płonący kawał wsi zalewał okolicę i obłoki ciężką ponurą czerwienią.

Zaraz na drugi dzień napatrzyliśmy się zniszczeniu innego rodzaju.

Bogactwo Belgii mogło zaimponować nie tylko nam chudeuszom galicyjskim. Domy po wsiach zasobne, gospodarstwa wyposażone w nowoczesny sprzęt, chleb powszedni biały... Wygoda tu była i dostatek. O takim dobrobycie chłop polski nie ma nawet wyobrażenia. Dwory po wsiach — istne pałace, château. Był taki château w Haute-Arche: dwupiętrowy rozłożysty pałac w ogromnym, wspaniałym parku. Wewnątrz przepych — godny sadyby książęcej. Właściciel umknął, zostawił wszystko na pastwę... nieproszonym gościom. Jakoż ci zagospodarowali!... A mieszkali tam przecież tylko wyżsi oficerowie z ordynansami. Przede wszystkim piwnica; zrekwirowano ją i wysuszono gruntownie. — Spóźnieni austriaccy „Waffenbrüder" wymiatali z kątów już tylko resztki. W kuchni przez pół rozdrapano, przez pół wytłuczono wspaniałe kryształowe zastawy; spichlerz przez wywalone drzwi cynicznie ukazywał swą pustkę wewnętrzną. W pokojach wspaniałych, o pięknych obiciach i boazeriach, kupy pozrzucanych razem, przeważnie pouszkadzanych, starych, stylowych mebli; pościel, bielizna rozkradziona lub zadeptana; lustra pobite, wielkie, stare obrazy i rzeźby pouszkadzane, na podłogach śmieci: papiery, skorupy stłuczone, stratowane, jak po przejściu Mongołów. Śliczny zbiór starej broni pakowali niemieccy ordynanse w skrzynie. A stąd przecież nikt nic strzelał; właściciel umknął chyba w jednym ubraniu. Najmniej jeszcze szkody w bibliotece; ogromna śliczna sala, zastawiona szafami rzeźbionymi, — a w nich księgozbiór... jakiś bez twarzy; książek dużo, oprawione jednostajnie w złocisto-słomiany półskórek, ale zbieranina bez wyraźnego charakteru. Książki te raczej do dekoracji widać służyły niż do lektury.

Staliśmy na stanowisku przez cztery dni. Wzięliśmy pod ogień fort d'Andoy, który się trzymał stosunkowo twardo; wybudowany był widać nowocześnie, o dużej wytrzymałości. Przerwawszy ostrzeliwanie dnia 23 VIII, skierowaliśmy moździerze na fort Maizeret, który zresztą po trzech godzinach biernego oporu wywiesił białą flagę. Wróciliśmy więc do dawnego zadania, a dn. 24 VIII w południe poddał się również fort d'Andoy.

Zdziwiła nas i poprostu zaskoczyła ta łatwość sukcesów. Zburzyliśmy dwa nowoczesne pancerne forty, nie otrzymawszy w zamian ani jednego pocisku. Załogi fortów przyjmowały w milczeniu swój los, nie wystąpiły z jakąś silniejszą akcją obronną. Zobaczyliśmy jeńców; załogę fortu Maizeret przeprowadzono nieopodal koło naszej baterii: kapitan i paru oficerów na wozie, 200 z górą załogi, chłopów rosłych, młodych, dobrze ubranych, przeszło czwórkami, w milczeniu pod nieliczną eskortą — w niewolę. Nie nabraliśmy dla nich szczególnego respektu.

Rankiem 25 VIII wypadło nam zająć nowe stanowisko, mianowicie tuż koło ruin fortu Maizeret, żeby z flanki zaatakować trzeci fort, Dave. Tu niespodzianka. Koło południa, kiedy już bateria wbudowana gotowała się do obstrzału, załoga fortu, uprzedzając działanie, — poddała się.

Spokojnie więc mogliśmy przyjrzeć się na ruinach Maizeret skuteczności naszych moździerzy. Z fortu zostało właściwie jedno potworne kretowisko gruzów i ziemi. Olbrzymie leje o średnicy do 5 m., a głębokości do 3 m., darte w gruncie skalistym, nierzadko w murze i betonie. Wieże pancerne wywalone z osad, poprzewracane na boki. Ledwie się dopatrzeć dawnego fortu. Okolica przesycona dziwnym jakimś przykrym zaduchem; to gazy wytworzone przez eksplozje ekrazytu. Opowiadali niemieccy sanitariusze, że większość zabitych poległa nie od ran, podusiły ich w poternach gazy.

Forty zaopatrzone były nadzwyczaj bogato. Stosy obuwia, ubrań, żywności w konserwach, nawet przysmaków, mnóstwo karabinów i amunicji. I tutaj bogactwo kraju narzucało się przede wszystkim naszym oczom. Bez dużego zachodu ten łup suty przechodził w ręce zdobywcy. Wydaje się, że w tym gwałconym oto narodzie proporcja między tężyzną żołnierską, a sytością i wygodą ułożyła się przecież jakoś nie należycie. Czyżby, aż tak nieopatrznie zaufali swojej neutralności?

Po tych nietrudnych triumfach dostał się nam dwudniowy wypoczynek. Stanęliśmy za fortem Maizeret znowu w takim, stosunkowo niewiele zniszczonym château.

Postój był na ogół spokojny, urozmaicony jednym tylko, zresztą nieszkodliwym, nocnym napadem franctireurów"...

o-O-o

IRENA TUROWSKA

TYTAN PRACY

W pięćdziesiątą rocznicę zgonu J. I. Kraszewskiego

Wiele pisano o działalności i zasługach Kraszewskiego jako jednego z najgorliwszych budowniczych i strażników naszej kultury w okresie niewoli politycznej.

Już za życia doczekał się autor „Starej baśni" słów uznania, spotkało go to szczęście, że w dniach 3 do 6 października 1879 roku całe społeczeństwo składało hołd jego zasługom. Ze wszystkich najdalszych zakątków Polski zjechali się wówczas do Krakowa delegaci i reprezentanci najrozmaitszych stowarzyszeń z darami nieraz bardzo bogatymi, z pięknymi adresami hołdowniczymi.

Jakby wstępem do jubileuszowych manifestacji krakowskich była znacznie skromniejsza, ale nie mniej bardzo pięknie i wzruszająco pomyślana uroczystość: odsłonięcie i poświęcenie marmurowej tablicy w Dolinie Kościeliskiej, na skalnej ścianie, na pamiątkę tatrzańskiej wycieczki Kraszewskiego, nazwanej jeszcze w roku 1877 Bramą Kraszewskiego. Na tablicy krakowski rzeźbiarz, ojciec późniejszego poety Stanisława Wyspiańskiego wyrył następujący napis: „J. I. Kraszewskiemu niestrudzonemu pracownikowi na polu piśmiennictwa ojczystego w uczczeniu półwiekowej pracy Towarzystwo Tatrzańskie. Dn. 30 września 1879".

Dzisiaj złocone litery na tatrzańskim pomniku zbladły, nie każdy je zauważy, a jeśli zatrzyma się chwilę i odczyta proste, a jednak tak wiele mówiące zdanie, to wcale się tym nie wzruszy, bo dla dzisiejszych ludzi sława Kraszewkiego już przebrzmiała, zasługi zbladły, jak ów napis.

KULT PRACY.

Gdy jednak mija pół wieku od zgonu tego tytana pracy, warto chociaż w krótkości i pobieżnie zastanowić się nad jego znaczeniem w literaturze i w życiu społeczeństwa. Działalność swą Kraszewski rozpoczął w smutnym okresie rozgoryczenia po upadku powstania listopadowego. Jednak rozpacz i zniechęcenie uważał za gorsze od zarazy. Gdy inni załamywali ręce, ronili łzy, albo starali się uciec od rzeczywistości w świat marzeń, Kraszewski mocno obydwoma nogami stał na ziemi i krytycznym, bystrym spojrzeniem obejmował rzeczywistość. — Wszelką bezradność, brak energii, bezpłodne marzenia, niezdolność do czynu, niedołęstwo i roztkliwianie się nad własnymi nieszczęściami piętnował w szeregu powieści z całą bezwzględnością. (**„Dajmon"**, **„Dzieci wieku"**, **„Na tułactwie"**, **„Morituri"**).

Na wszelkie smutki i cierpienia za jedyne lekarstwo uważał pracę i sam dał najlepszy przykład całym swym życiem, że jest to lekarstwo niezawodne.

Z natury słabego zdrowia, mając lat trzydzieści cztery już cierpiał Kraszewski na chroniczny ból gardła, na artretyzm, z którego na próżno starał się wyleczyć kuracją w Druskiennikach, w późniejszych latach coraz bardziej podupadał na zdrowiu, ale przecież do ostatka, nawet wtedy, gdy opuchnięte nogi nie pozwalały mu chodzić, gdy sercowe ataki powodowały długotrwałe osłabienie, a newralgia przez długie, długie noce nie pozwalała zmrużyć oka, nie ustawał w pracy.

Za naczelną zasadę życia wziął sobie Kraszewski, by dzień żaden nie minął bez śladu. A dzień do dnia był u niego podobny szczególniej w okresie drezdeńskim, gdy wyłącznie poświęcał się literaturze. Zwykle rano czytywał dzienniki i książki, odpisywał na listy, których poczta przynosiła codzień wiele, skoro korespondencja do Kraszewskiego liczy aż 30 tysięcy listów! Mało który pozostał bez odpowiedzi, bez serdecznego słowa zachęty, bez ojcowskich wskazówek. — Po południu była godzina przeznaczona na spacer, a potem resztę czasu znów spędzał Kraszewski na czytaniu książek, na zbieraniu materiałów i robieniu notatek do powieści.

Samo pisanie rozpoczynał dopiero wieczorem około w pół do ósmej, a kończył zwykle o północy i później — czyli spędzał przy biurku na pracy twórczej nie więcej niż sześć godzin; ale gdy zaczął pisać, to pióro biegało nieustannie po papierze, nie było prawie poprawek w tekście, czy przekreślań i trzeba podziwiać szalone wprost tempo pracy. Niektóre powieści powstały w ciągu kilku dni; np. dwutomowa powieść **„Psiawiara"** napisał Kraszewski w ciągu dni siedemnastu, a powieść **„Ostrożnie z ogniem"** pisał zaledwie dni pięć. Oczywiście ten pośpiech i gorączkowa pisanina odbijały się na kompozycji, na charakterystyce bohaterów, na powiązaniu poszczególnych scen, na wartości artystycznej dzieła. Kraszewski jednak nie potrafił gładzić i przerabiać tego, co pisał twierdząc, że niechybnie zamiast poprawić tylko by zepsuł pierwotny tekst. Pchała go ciągle naprzód jakaś niesamowita, nieledwie chorobliwa gorączka pracy.

Gdy się zastanowić nad całą działalnością Kraszewskiego, to można bez przesady powiedzieć, że pracą, którą wykonał, można by obdzielić kilku ludzi, a napewno mieliby życie zapełnione.

POWIEŚĆ, DZIENNIK, POEZJA.

Dla nas Kraszewski jest przede wszystkim twórcą powieści polskiej, tym, który powieść wprowadził do szlacheckich dworków, do pałaców, do miasta i na wieś. Dosłownie bowiem książki Kraszewskiego zbłądziły pod strzechy. I to jest największą jego zasługą, że był popularyzatorem literatury, bo z rąk polskiej inteligencji wytrącił swymi powieściami francuski romans, a mieszczan i chłopów do czytania zachęcił. Dzięki Kraszewskiemu książka stała się chlebem powszednim, przeniknęła społeczeństwo ukazując mu oblicze narodowej tradycji, cnót, grzechów, zalet i wad. Historyczna powieść Kraszewskiego objęła bowiem wszystkie epoki, od dziejów bajecznych, przez Piastów i Jagiellonów, królów elekcyjnych, do upadku i niewoli, a powieść obyczajowa i społeczna była zwierciadłem spraw nurtujących i obchodzących zarówno arystokrację, jak mieszczan, czy chłopów. W powieściach tych znalazły się typy ludowe, były także figury małomiasteczkowych aptekarzy, kupców, rzemieślników, były żywcem z dworków przeniesione na karty książki postacie ekonomów, rezydentów, panien respektowych, słowem — był świat już wówczas ginący i świat, który wówczas dopiero zaczynał żyć i powstawać o swe upominając się prawa.

Powieści Kraszewskiego z życia ludu: **„Historia Sawki"**, **„Ulana"**, **„Ostap Bondarczuk"**, **„Budnik"**, **„Jaryna"**, **„Chata za wsią"**, **„Jermoła"** i inne są w znacznej mierze odbiciem obserwacji autora, który zetknął się z ciężką dolą ludu wiejskiego i stanął w jego obronie. Wykorzystał przy tym Kraszewski w tematach powieściowych wiele podań, przysłów, pieśni ludowych uważając, że folklor stanowi niewyczerpane źródło pomysłów i motywów artystycznych.

Nie tylko powieściami swymi budził Kraszewski zainteresowanie i pełnił rolę nauczyciela i wychowawcy, lecz również niezliczonymi artykułami, które pomieszczał w **„Tygodniku Petersburskim"**, w **„Gazecie Codziennej Warszawskiej"** i w całym szeregu innych czasopism. Działalność Kraszewskiego jako publicysty i dziennikarza, jako redaktora i założyciela takich czasopism jak **„Atheneum Wileńskie"** — to nie mniej ważny odcinek niż twórczość powieściowa. I tu również jak w powieściach przejawiają się integralne cechy jego umysłowości: wielostronność zainteresowań, żądza uczenia i chęć zaznajomienia innych z wynikami badań naukowych i dociekań w najrozmaitszych gałęziach wiedzy.

Kraszewski nie ograniczał się do pisania artykułów z zakresu literatury, krytyki, estetyki czy filozofii, potrafił pisać na każdy temat: o najnowszych wynalazkach i o emancypacji kobiet, dawać obrazki z podróży, artykuły archeologiczne, czy lingwistyczne. Pisał nawet wiersze.

Poezją zajmował się Kraszewski już w latach chłopięcych, przekładając najpierw z francuskiego bajki Lafontaine'a i pod wpływem Mickiewicza i Byrona układając fantastyczne ballady. Utwory Kraszewskiego utrzymane w duchu romantycznym pojawiały się w latach 1834—35 w czasopiśmie wileńskim **„Znicz"** i wyszły także osobno pt. **„Poezje"** (Wilno 1838). Jak silnie zajmowała Kraszewskiego wówczas poezja, świadczą słowa współczesnego krytyka Michała Grabowskiego, który wróżył młodemu autorowi większą sławę jako poecie niż jako powieściopisarzowi. Przez wiele lat jednak Kraszewski zapomina o Muzie, pochłonięty całkowicie pisaniem powieści, dopiero w 1857 r. ogłosił **„Hymny boleści"**, od których zresztą daleko większą popularność zdobyła sobie wierszowana trylogia poświęcona dziejom Litwy (Witolorauda, 1840).

Wspominając o Kraszewskim jako poecie warto też powiedzieć, że był również pisarzem dramatycznym, a to głównie z potrzeby uzupełniając repertuar teatru w Żytomierzu, którego przez kilka lat był dyrektorem, napisał kilka komedii i dramatów. Do najlepszych komedii Kraszewskiego należy **„Miód kasztelański"**.

Nie tylko jednak literatura, krytyka i historia zajmowała Kraszewskiego. Całym sercem i z wielkim zapałem poświęcał się pracy filantropijnej. W jednym z listów do brata tak nawet pisze: „Fraszka literatura! Gdzie chodzi o ulżenie nędzy, o oświatę i ważniejsze dla społeczeństwa zadania".

Niewątpliwie, że są to reminiscencje z pracy społecznej, którą pełnił na stanowisku kuratora szkolnego w Żytomierzu, w latach 1856—1859. Z literaturą Kraszewski rozstać się nie potrafił mimo największego nawału zajęć mimo kłopotów rodzinnych i domowych, mimo tarapatów finansowych, mimo różnych bolesnych niespodzianek, które mu gotował los.

ZNACZENIE KRASZEWSKIEGO.

Z literackiego też stanowiska trzeba oceniać działalność Kraszewskiego, nie wyłączając jednak momentów społecznych i patriotycznych. Jako powieściopisarz nie jest Kraszewski ani oryginalny, ani głęboki. — Wiele pomysłów zawdzięcza lekturze, w charakterystyce osób jest zbyt powierzchowny, w opisach drobiazgowy, w komponowaniu całości niestaranny, chaotyczny, gubiący tok akcji w drobnych epizodach. Ale nie o to chodzi, lecz o rolę, jaką jego powieści odegrały mimo tych błędów i usterek, mimo licznych, ba coraz liczniejszych zarzutów, które im stawia krytyka i czytelnik.

Wpływ Kraszewskiego na umysłowość polską był olbrzymi. Powieść jego torowała drogę innym twórcom, była natchnieniem dla artystów malarzy i muzyków. Żeleński na tle **„Starej baśni"** skomponował operę, a Zygmuntowi Noskowskiemu za libretto służyła treść **„Chaty za wsią"**. Powieści Kraszewskiego były ilustrowane przez znakomitych malarzy i budziły natchnienie do obrazów Stachiewicza, Chełmońskiego, Kossaka, a gdy przebiec myślą wpływ Kraszewskiego na innych pisarzy, to reminiscencje i naśladownictwa okażą się tu niezliczone. I każdy z nas coś zawdzięcza Kraszewskiemu, każdy z nas przypomina sobie niejedną chwilę, w której może łzy ronił nad losami **„Czarnej Perełki"**, ze współczuciem śledził losy Stasia Sołomereckiego z **„Zygmuntowskich czasów"**, z niesłabnącym zainteresowaniem czytał **„Historię o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie"**. A jak barwne i zajmujące były lekcje historii czerpane z kart **„Starej baśni"**, **„Luboni"**, jak plastycznie jawiła się naszej wyobraźni piasto-

---

FRANCISZEK BIELAK

Przyjaciele Dygasińskiego

Zainteresowanie biografią wielkich ludzi stanowi dość charakterystyczny objaw naszych czasów. Powodów jego bardzo wiele, ale bodaj najczęściej u jego podstawy tkwi w umysłach czytelników biografii powieściowych czy naukowych swoista chęć zaznajomienia się z wybitną osobowością ludzką, gdyż staje się ona lekcją praktycznej psychologii i etyki. Niwelujące życie dzisiejsze spotyka się z cichym protestem przeciętnego obywatela — cieszącego się z bliższej znajomości z królową Wiktorią czy z Shelleyem.

Dlatego też ataki formalistów czy neopozytywistów nie wytrzebią już nie tylko zamiłowania do „życio-powieści", ale nawet nie osłabią zbytnio studiów nad biografią niepospolitych twórców. Chęć odtworzenia człowieka, który zapanował nad pewnym wycinkiem naszej wyobraźni czy naszych uczuć, nie pozwoli na rezygnację z poznania wszelkich świadectw i źródeł biograficznych, a choćbyśmy nawet bardzo daleko posuwali nasz sceptycyzm metodyczny, to będziemy starali się niejako osaczyć indywiduum twórcze ze wszystkich stron, by podsunąć się najbliżej i zajrzeć w tajemniczy przybytek jego duszy.

Skomplikowaną niewątpliwie psychiką był niepospolity twórca „Godów życia", Adolf Dygasiński. Gdzie indziej starałem się przedstawić antynomie, »jakie ujawniają się w jego dziełach i w życiu", tu chciałbym zwrócić uwagę na pewne fakty z życia wielkiego pisarza, które oświetlają jego bogatą uczuciowość, a po części pozwalają nam wejrzeć w warunki środowiska, w jakim żył Dygasiński w Warszawie.

Niezwykle rzadkim drukiem bibliofilskim jest „Opis imprezy wojennej IMC. Pana Alberta Milicerego contra insolentiam tyraniej Karła Gostausa", ponieważ wyszedł on przed laty (w 1894) w 25 egzemplarzach i to „nakładem współpijaków". Żartobliwa ta mistyfikacja bibliofilska Dygasińskiego tym żywiej nas interesuje, że autor przedstawił w niej całą galerię swoich przyjaciół i znajomych a poprzedził ją bardzo piękną dedykacją „Do przyjaciół". „W tej tak zawikłanej fortunie żywota — pisze w niej Dygasiński — trefiłem na ludzie z myślą niezaziębłą, a faworu przyjacielskiego dosłużyłem się u Waszmość Panów Braci nie zaskakowaniem wżdy i zalecaniem, jeno przedziwnym spowinowaceniem w przygodach, co mi onę wdzięczną pociechę dało, że w społeczności z Wami frasunek nie bywa nigdy frasunkiem. Nietyle zasię poznania przyszło mi z uważnego słuchania nadobnych dyskursów i rozmówek Miłościwych Waszmość Panów, ile z przestawania z Wami w różnych okazjach i przypadkach. Albowiem nauczyłem się na przykładzie Waszmość Panów, jak i w ostatniej mizeryej pozostając, ma się człowiek zachowywać wedla swego przystojeństwa".

Zbierana czy może raczej — wybrana drużyna przyjaciół Dygasińskiego pokazana w „Imprezie" pod różnymi pseudonimami czy przezwiskami przedstawia się wcale rozmaicie. Patronem jej jest przyrodnik Napoleon Milicer, ówczesny dyrektor pracowni chemicznej przy Muzeum Rolnictwa i Przemysłu w Warszawie. Imię „literackie" zawdzięcza popularnym w literaturze ludowej XVII w. historiom o mało mężnych a chełpliwych żołnierzach, wojujących chętniej po folwarkach niż na polu bitwy, a znanych pod imieniem „Albertusów". Obok chemika najbliższym przyjacielem Dygasińskiego był znany literat i krytyk, zwłaszcza muzyczny, Antoni Sygietyński. W naszej opowieści ma on przezwisko Przekory i bodaj, że ta cecha łączyła mocno obu przyjaciół: i Dygasińskiego i Sygietyńskiego cechowały w życiu wielka niepodległość sądu i niechęć do poddawania się pod czyjąkolwiek komendę. Należąc zasadniczo do grona t. zw. pozytywistów (nazwa zresztą wybitnie nieścisła), pisując do „Przeglądu Tygodniowego", Dygasiński zachowuje niezależność wobec czołowego publicysty pozytywistów, Aleksandra Świętochowskiego. Podobnie niezależny był Sygietyński, kpiarz i ironista do samej śmierci (w r. 1924), zapomniany autor doskonałej powieści naturalistycznej, »Wysadzony z siodła", i świetnych szkiców o ówczesnej powieści francuskiej, drukowanych w „Ateneum".

Obok literata Sygietyńskiego najserdeczniejszymi przyjaciółmi Dygasińskiego byli dwaj nauczyciele: Hermann Benni i Stanisław Mieczyński. Pierwszy z nich (Benek z Tomaszowa), brat znanego z biografii Sienkiewicza lekarza Karola Benniego, a ojciec niedawno zmarłego profesora Uniwersytetu warszawskiego, Tytusa, założył za najgorszych czasów Apuchtina szkołę polską, w której uczył Piotr Chmielowski, Dygasiński i Mieczyński. Dygasiński zżył się serdecznie zwłaszcza z Bennim i chociaż szkoła niedługo była tolerowana przez Apuchtina (zamknięto ją w r. 1885), te stosunki osobiste coraz się zacieśniały i bodaj, że były, jeśli tak można mówić o przyjaźni, najtkliwsze. Charakter Benniego skreślony przez Dygasińskiego w nekrologu (Tygodnik Ilustr. 1900) pozwala nam zrozumieć powody tej głębokiej a serdecznej zażyłości. „Chociaż pracował dla społeczeństwa szczerze, żył jednak w tym społe-

ADAM BAR

J. I. Kraszewski a Wacław Szymanowski

Na podstawie nieznanej korespondencji *).

Do rozwoju polskiego dziennikarstwa w połowie XIX w przyczynił się nie mało Wacław Szymanowski. Trzeba pamiętać, że prasa polska do połowy XIX w. miała charakter prawie wyłącznie informacyjny, felieton był niemal nieznany, podobnie jak artykuły wstępne, i dopiero H. Rzewuski, zakładając 3 marca 1851 r. „Dziennik Warszawski", daje zaczątek nowoczesnemu polskiemu dziennikarstwu. Rzewuski nie opierał „Dziennika" na żadnym programie, pozyskał do redakcji wybitne siły, jak Juliusza Bartoszewicza i Aug. Wilkońskiego, nawet B. Dołęgę, Al. F. Gryfa i Zenona Fischa, którzy niedawno w „Gwieździe" kijowskiej prowadzili z nim zaciętą wojnę, umiał pismo postawić na poziomie zachodnio-europejskiej prasy. Tutaj też w „Dzienniku Warszawskim" zaczyna Wacław Szymanowski swoją pracę dziennikarską. Ale pismo Rzewuskiego, mimo wysokiego poziomu, nie umiało sobie zdobyć popularności, społeczeństwo zbyt dobrze pamiętało „Mieszaniny Jarosza Bejły", aby miało jakiekolwiek wątpliwości co do jego tendencji. Unikał go też Kraszewski, który już wówczas był najpopularniejszym pisarzem w Polsce. Zresztą w tym czasie Antoni Leszczynowski, zabiegliwy redaktor „Gazety Warszawskiej" zdołał go pozyskać dla swojego pisma i nawet zobowiązać kontraktem. Rzewuski wkrótce zrezygnował z wydawania pisma, które odtąd, aż do swojego upadku (1855 r.) prowadził J. Bartoszewicz razem z Szymanowskim. Ponieważ jednak mimo to „Dziennik" nie mógł się podnieść, założono nowe pismo p. t. „Kronika Wiadomości Krajowych i Zagranicznych".

POZNANIE i ZBLIŻANIE

Z Szymanowskim poznał się Kraszewski prawdopodobnie jeszcze w listopadzie 1851 r. podczas pobytu w Warszawie, gdzie był uczczony przez wszystkich literatów, z wyjątkiem redakcji „Dziennika". Szymanowski, który wówczas był sekretarzem pisma starał się go pozyskać dla gazety, ale bezskutecznie, to jednak nie zmąciło między nimi poprawnych stosunków, korespondują ze sobą, a nawet Szymanowski namawia Kraszewskiego, aby dał do „Dziennika" jakąś powieść.

Pierwszy list Szymanowskiego z 27 lutego 1854 r., który się zachował, wskazuje na dłuższą znajomość z Kraszewskim, na dość silne zbliżenie się między nimi. „Jeżeli Pan — pisał redaktor „Dziennika" — co nie wątpię, pragniesz podtrzymać literaturę periodyczną, to przyszlij nam Pan co, na miłość Boską, możesz; inaczej upadniemy". W tym samym liście namawiał również Kraszewskiego do napisania komedii dla teatru warszawskiego. „ W dramatach Pańskich — pisał — myśl, wyobraźnia, żywość autorska, a tym samym efekta sceniczne za bardzo się rwały naprzód, chciałeś Pan tam tyle prawdy włożyć, że aż się stały nie prawdopodobne, ale komedia to co innego". Proponował mu przerobienie powieści pt. „Komedianci" na sztukę. Szymanowski w ogóle nie był wielbicielem powieści, która już wówczas, dzięki Kraszewskiemu, zaczęła się wysuwać i u nas na czoło wszystkich form literackich i powoli wypierać poezję z przodującego miejsca. „Powieść — pisał w tym samym liście — w wykształceniu narodowym to to samo co encyklopedia XVIII wieku w naukach, licho nam po niej, to kolos o złamanych nóżkach, a nam właśnie więcej na podstawie zależy, niżeli na budowie samej, bo nam brak podstaw gruntownych". Ale Kraszewski, nie wiadomo, czy zraził się zbyt wielką szczerością Szymanowskiego, czy też w ogóle jeszcze wówczas nie ufał jego przyjaźni, trzymał się nadal od „Dziennika" z daleka, na co narzekał Szymanowski w liście z 25 marca 1854 r. Wówczas Kraszewskiego znowu, jak to zresztą zbyt często się u niego zdarzało, dręczył pesymizm. Ogromna wrażliwość na krytykę nieraz wytrącała mu pióro z ręki i tylko nałóg do pracy nie dopuszczał do usunięcia się na dłuższy czas od literatury. W tym czasie rozgoryczyła go nieprzychylna krytyka „Złotego jabłka". Zresztą niewątpliwie do pesymistycznego nastroju przyczyniały się również niemiłe stosunki w Żytomierzu, gdzie wtedy mieszkał, a które w niedługim czasie skłoniły go do wyjazdu do Warszawy. Szymanowski starał się, jak mógł, podtrzymać go na duchu, chwalił więc gorąco jego „Dziwadła", „Chatę za wsią", a szczególnie „Powieść bez tytułu", uznaną wówczas prawie ogólnie za arcydzieło. „Wiem, — pisał Szymanowski — że jesteś Pan drażliwy, bo chory i spracowany, wiem że to boli w sercu, kiedy się sądzi, że nasze dobre chęci, naszą uczciwą pracę nie doceniają, ależ przez Boga żywego, tak nie jest. Pan jesteś najpopularniejszym, najbardziej kochanym autorem w Polsce, i słusznie, bo stoisz już tak wysoko, że nawet zachwiania się obawiać nie możesz". Serdeczne słowa Szymanowskiego zjednały mu jego przychylność. Kraszewski przysłał nawet dla Dziennika „Trapezologion". Był zadowolony szczególnie z entuzjazmu krytyki „Powieści bez tytułu". „I z tego się cieszę. — pisał w liście z 23 sierpnia 1854 r. — że moja powieść „Bez tytułu" poszła do serca, bo sercem była pisana, a jeżeli w niej są błędy, to błędy uczucia, którego zbytek często niekorzystnie wpływa na wyrażenia dobitne... O! jestem ja nie stary, choć starym się być zdaję, i gdyby Bóg dał zdrowie, a ludzie zagrzali do pracy, poszedłbym do pługa po staremu, i orał z młodszymi pospołu ochotnie". W jednym z następnych listów z 17 września 1854 r. mówi znowu o propozycji Szymanowskiego aby pisał komedie. „Myśli jej oddawna powziętej nie rzucam wcale, ale występując w szranki nowe, gdzie naturalnie przyjdzie każdemu na myśl porównywać mnie ze starszymi poprzednikami nie chciałbym upaść na progu i śmiechu z siebie narobić. Biję się jeszcze z myślą, osnową, budową, a jak się wybiję, napisanie samo nie zabawi, bo to tryb mój zwykły, dłużej obmyślać niż wykonywać". Obawiał się szczególnie krytyki Korzeniowskiego, o czym jeszcze w następnych listach wspominał. Ostatecznie napisał dwie komedie „Portret" i „Łatwiej zepsuć, niż naprawić", zdawał sobie jednak sprawę z ich lichoty i wiedział, że trudno mu będzie rywalizować z Korzeniowskim (o Fredrze nie wspominał). W liście z 6/18 stycznia 1855 r. pisał: „Szczerze wyznam, że tego występu na scenę, do którego pan szczególniej mnie namawiałeś, mocno się obawiam".

PRZYJAŹŃ

Jak się okazuje z dalszej korespondencji stosunki z Szymanowskim stawały się coraz serdeczniejsze, ale dla „Dziennika" potem dla „Kroniki Wiadomości" pisał niewiele, tłumacząc się zawsze umową z Leszczynowskim. Gdy zniechęcony do Żytomierza, zwłaszcza po słynnym zatargu z szlachtą wołyńską, przeniósł się w r. 1862 do Warszawy i, za namową L. Kronenberga, objął redakcję „Gazety Polskiej", przyjaźń z Szymanowskim zacieśniła się jeszcze bardziej i bez żadnych zachmurzeń dotrwała aż do śmierci. W niedługim jednak czasie Kraszewski musiał opuścić Warszawę i osiąść w Dreźnie. Wówczas znowu nawiązuje się między nimi korespondencja. Szymanowski w r. 1868 objął redakcję „Kuriera Warszawskiego", który również z Kraszewskim utrzymywał przyjazne stosunki. Np. 17 marca 1875 r. cała redakcja wysyła do niego zbiorowy list imieninowy z podpisami Wł. Bogusławskiego, Chodorowicza, E. Lubowskiego, T. Czapelskiego, Łuniewskiego i in., za Prusa podpisał się Szymanowski. Zaraz też Kraszewski odpisuje 20 marca 1875 r. „Bądź mojej wdzięczności tłumaczem dla Redakcji, i sam przyjm najserdeczniejsze dzięki za pamięć — chrześcijański to uczynek nawiedzić anachoretę na pustyni, a tymci ja jestem, oto trzynaście lat wśród tego niemieckiego świata — wśród którego zawsze zimno i obco". Prawdopodobnie również z tych czasów pochodzi jego wierszyk nadesłany do redakcji „Kuriera Warszawskiego" na osobnej kartce, zaopatrzonej piórkowym rysunkiem Kraszewskiego, przedstawiającym w oddali panoramę jakiegoś miasta. Oto tekst wiersza:

Z Bismarkiem
Nad karkiem
Pod cesarstwa skrzydły
Siedzę tu jak w łaźni
Aż mi dni moje obrzydły.
Wy — balsamem przyjaźni
Goicie moje rany!
Panie Wacławie kochany!
Tobie i przezacnej braci
Ze skarbnicy nieprzebranej
Chyba Bóg za to zapłaci.

Na ogół jednak listy Kraszewskiego z tych czasów są krótsze. Dłuższą dyskusję budziły dopiero zjazdy „Association Litteraire Internationale" najpierw w Londynie, ale przede wszystkim we Wiedniu. Ten ostatni zjazd wywołał stanowczy protest Kraszewskiego. Szymanowski domagał się, aby Kraszewski, który na zjeździe w Londynie został wybrany do komitetu honorowego, reprezentował w Wiedniu polską literaturę. Na to Kraszewski odpisał dnia 7 sierpnia 1881: „Wiecie jakie jest dziś rozdrażnienie w Austrii i walka żywiołów słowiańskich i germańskich. Nie mogą się zetknąć, żeby się ta niechęć wzajemnie nie objawiła. Kongres już z góry sobą rozporządził i zdał się na łaskę i niełaskę Niemców... Dla nas tam miejsca nie ma, a gdybyśmy byli — to tylko chyba poto, aby posłyszeć przycinki über Kultur unfähige und uncivilisirte Volksschaften... so genante Nationalitäten itp itp. Jest to dziś nieuchronne. Słowem miejsca tam dla nas nie ma. Jeżeli przyjedzie Turgeniew i ja przybędę — a jeżeli nie — nie. Na ten raz International... Congress będzie oznaczał kongres francoantrichien lub franco-allemand. Niemieccy literaci (allgemeiner Deutscher Litterarischen Verein) zwyrachowali się tak, że zjazd całoniemiecki odbywają w Wiedniu i kończą go dn. 18, a 19 my mamy rozpoczynać. Jawna rzecz o co idzie, aby północni Niemcy — Niemcy w ogóle zajęli ten kongres, na którym my albo odegramy rolę pariasów... lub żadnej. Wolemy więc nie być. Wy uczyńcie co — zechcecie, ale ja w tych warunkach nie pojadę. Z góry wiem co nas czeka i znam grunt".

Na to Szymanowski przysłał mu 23 sierpnia odpis listu Juliusza Lermine'a, general nego sekretarza związku, z zawiadomieniem, że Kraszewski ma być wybrany prezydentem kongresu. Równocześnie otrzymał Kraszewski list tegoż Lermine'a, który pisał: „Nous serons très nombreux, et nous porterons haut et ferme le drapeau de l'Association. C' est vous dire combien nous serons fierté de vous voir à notre tête, pour resister à tous ceux qui voudraient denaturer l'oeuvre de progrès à laquelle nous nous somme dévoir". Oba listy przeraziły Kraszewskiego, prosi na wszystko w świecie Szymanowskiego, aby wyperswadował komu trzema, że nie potrafi przewodniczyć kongresowi, godził się już nawet brać w nim udział byle tylko uwolniono go od kłopotliwego zaszczytu. „Będę siedział — pisał — i asystował, ale prezydentury nie mógłbym przyjąć, i nawet nie wypada nam. Byłby w N. Fr. Presse i po pismach niemieckich krzyk, opozycje i wywołałoby to niepotrzebną burzę". Ostatecznie Kraszewski wziął udział w kongresie wiedeńskim, prezydentami sesji zostali Torres Caicedo, Ludwik Ulbach i Wł. Chodzkiewicz, zaś Kraszewski został prezydentem honorowym. — Również podczas tego kongresu, jak się okazuje z listu z 5 listopada 1881 zawarł umowę na powieść z Alf. Daudet i z Neue Fr. Presse, której obiecał dać powieść p. t. „Wibriony".

OSTATNIE LISTY

List z 11 lutego 1884, pisany jest już po głośnym aresztowaniu Kraszewskiego przez policję niemiecką pod zarzutem szpiegostwa. „Po stokroć — pisze do Szymanowskiego — Wam dziękuję i niech Bóg stokroć płaci za dobre serce za wszystko... — czem mi życzliwości dowiedliście. Nic jeszcze nie wiem, czy będę mógł przybyć na Zjazd (Association), bo dotąd sobą nie władam, a kiedy się to skończy niepodobna ani się dowiedzieć ani przewidzieć. Oto już 8 skończonych miesięcy. — Starania wszelkie nie tylko, że nie pomagają, ale tylko niecierpliwią — należy więc rezygnacją zdać się na wolę Bożą. Zjazd obiecuje się być bardzo zajmującym szczególniej dla tych, których historia literatury obchodzi — radbym z kątka słuchać rozpraw i uczyć się — ale nawet gdybym był tak szczęśliwym, żebym mógł przybyć, wiecie jak męczące są Zjazdy — a ja ledwie już dyszę. Chodzę o kiju, a wszedłszy na schody muszę odpoczywać długo nim słowo przemówić potrafię. — Kończę 72 rok, a z tych siedmiu krzyżyków wiele się liczy podwójnie". Słynny proces lipski z r. 1884 i wypadki z nim związane przerwały korespondencję Kraszewskiego z Szymanowskim. Ostatni list z 14 stycznia pisany z więzienia w Magdeburgu po francusku, ponieważ policja nie pozwoliła mu pisać po polsku, zawierał obojętne wiadomości. Gdy dzięki staraniom Antoniego Radziwiłła d. 24 paźdz. 1885 r. otrzymał Kraszewski półroczny urlop za kaucją 20.000 mk, zatrzymał się w Genewie, gdzie go ostatnie za życia spotkało uczczenie. Dn. 18 września 1886 r. rozpoczął się w Genewie znowu kongres Association, którego wtedy już Kraszewski był wieczystym honorowym prezydentem. Oto podczas otwarcia, na którym właśnie przemawiał Droz, wszedł na salę zgrzybiały staruszek pochylony do ziemi, wybitny pisarz polski Kraszewski i wtedy rozległy się entuzjastyczne oklaski. Kraszewski z trudem podniósł się z krzesła i kilkakrotnem skinieniem głowy, ku ziemi ciągle schylonej podziękował. Ale Szymanowskiego już wtedy nie spotkał.

—o0o—

*) Listy W. Szymanowskiego, Rks. 6399 Bibl. Jagiellońskiej, Listy Kraszewskiego do Szymanowskiego, Rks. bez sygn. Bibl. Jag. Korespondencja J. I. Kraszewskiego, scr. III. T. 76, Listy J. Lermine'a, tamże, scr. III. T. 55.

Tytan pracy

(Dalszy ciąg ze str. 4)

wa stolica pod wpływem powieści „Kraków za Łokietka"? Ileż refleksji nastręczały powieści „Brühl", „Hrabina Cosel", odsłaniające zgniliznę, sprzedajność, brak zasad moralnych czasów saskich?

Chociaż już przebrzmiały echa tej wielkiej sławy i popularności, jaką cieszył się Kraszewski, chociaż jego książki coraz bardziej traktuje się jako „szkolną lekturę obowiązkową" i literaturę dla... prowincji, to przecież niepodobna zapomnieć nigdy zasług pisarza, który w liście do Placyda Jankowskiego dnia 20 kwietnia 1841 roku wyraził takie skromne życzenie: „Pragnę, aby kiedyś o mnie tylko to powiedziano iżem się przyczynił do obudzenia ruchu umysłowego za moich czasów". Powtórzą to o Kraszewskim na pewno i przyszłe pokolenia i to również: że był tytanem pracy, który zawsze będzie świecić swym jasnym przykładem społeczeństwu.

---

czeństwie, używając rozkoszy duchowych wśród ksiąg i swoich ideałów, jak pustelnik. Nieugięty w prawości i postanowieniach wzniosłych nie zniżyłby się do roboty za cenę jakichś oklasków. Starczyło mu zawsze za najwyższą nagrodę kochać, przebaczać, współczuć z nieszczęśliwym, pracować uczciwie bez względu na korzyść, być jako człowiek i obywatel czystym". Dygasiński urodzony nauczyciel i wychowawca czuł się może najlepiej z tym cichym, niestrudzonym pracownikiem, chociaż z estymą wspomina Piotra Eremitę (Chmielowskiego) i Bronisława Chlebowskiego, widać, że z Bennim życie było niezwykle głębokie.

Obok przyrodnika, pisarza, obok historyków literatury i nauczycieli znalazł się też w tej grupie ksiądz (Górski = ks. Zygmunt Chełmicki). Znany ze swej towarzyskości i wykształcenia, kaznodzieja i literat — podobnie jak Dygasiński jeździł do Brazylii w r. 1891, by się przekonać o warunkach emigracji polskiej. Za naszych już czasów był sekretarzem Rady Regencyjnej.

Jak widać urozmaicone grono zbierało się w nie istniejącej dziś restauracji Norkowskiego „Pod daszkiem" na Krakowskim Przedmieściu. Prócz już wspomnianych, bardziej zżytych towarzyszy zachodził tam dr Peszke Koelichen, Władysław Kwietniewski, dyrektor Centralnej Stacji Meteorologicznej, Artur Gruszecki, inż. Ciszewski. Ciekawie przedstawia się ta grupa inteligencji samorzutnie powstała w okresie najgorszego ucisku jako swoista organizacja nowej warstwy polskiego społeczeństwa. Różnorodność funkcyj społecznych jej uczestników, a zwłaszcza rozległość ich zainteresowań umysłowych wspominane były jeszcze w wiele lat później przez Sygietyńskiego z serdeczną tęsknotą.

Z Dygasińskim nie wszyscy byli równie blisko; Benni, Milicer, Mieczyński, Sygietyński to bodaj rzeczywiście serdeczni jego przyjaciele, ale i wśród tej małej grupki widać wielką rozmaitość postawy życiowej i roli społecznej. A znowu Sygietyński, Dygasiński, Gruszecki, a ponadto Stanisław Witkiewicz będą stanowić w życiu literackim tej epoki wpływową grupę redaktorów „Wędrowca". Zapewne w gronie tych „dobrych towarzyszy" marnowało się nieco energii, ale równocześnie zaprzeczyć się nie da, że czasy Hurki i Apuchtina i tak nie pozwalały na jakąkolwiek pracę społeczną; niewątpliwie zaś wtedy właśnie trzeba było krzepić się poczuciem łączności z innymi, szukać wymiany myśli troskliwie gnębionej przez zaborcę. Jak kiedyś rzeczpospolita babińska, tak w owym czasie ta grupka dobrych kompanów stanowi swoistą pozycję w życiu kulturalnym Polski związaną z niepospolitymi nazwiskami pisarzy, uczonych, nauczycieli.

Dr KAZIMIERZ PIWARSKI (docent U. J.)

Richelieu i Corneille

(W 300-lecie „Cyda")

Stosunek kardynała Richelieu'go do autora „Cyda", Corneille'a, był wielokrotnie przedmiotem studiów uczonych, badaczy dziejów politycznych oraz dziejów literatury francuskiej w pierwszej połowie XVII wieku. Pozornie sprawa ta, której rozgłos zapewnił szczególnie związany z nią najściślej wyrok Akademii Francuskiej, oceniający krytycznie „Cyda", była już zupełnie wyjaśniona. Poglądy nauki w tej materii przed stawiały się dotychczas następująco:

W styczniu 1637 r. odbyło się pierwsze przedstawienie „Cyda". Sukces przeszedł oczekiwania autora. Cały Paryż mówił wyłącznie o tej sztuce, przeżywał naprawdę losy jej bohaterów, nie miał słów uznania dla młodego jeszcze wówczas, 29-letniego Corneille'a. Jeden tylko Richelieu nie podzielał ogólnego zachwytu. Dzieło budziło zastrzeżenia kardynała z powodów politycznych. Od r. 1635 była Francja w wojnie z Hiszpanią, od r. 1636 również i z cesarzem. Richelieu przeszedł od wojny „ukrytej" przeciwko Habsburgom — do wojny „otwartej". Francja wmieszała się czynnie do wojny 30-letniej. Rok 1636 ujawnił jednakże, że Francuzi nie są do wojny odpowiednio przygotowani. Wojska hiszpańskie i cesarskie z kilku stron wtargnęły do Francji. Podjazdy hiszpańskie doszły na 50 kilometrów od Paryża, główne siły oblegały miasto Corbie nad Sommą. Z największym wysiłkiem udało się Ludwikowi XIII i Richelieu'mu obudzić zapał Francuzów, zebrać odpowiednie siły, uwolnić miasto Corbie z oblężenia i odepchnąć Hiszpanów ku północy. Rok ten (t. zw. „rok Corbie"), był rokiem grozy dla Francji, tak jak później rok 1870 czy 1914. I nadal jeszcze sytuacja militarna Francji była nader trudna. Wróg nie ustępował z jej terytorium. Na terenie Niemiec walczyli sojusznicy Francji, Szwedzi, ze zmiennym szczęściem. Kilka lat jeszcze wypadnie poczekać, aż szala zwycięstwa przechyli się zdecydowanie na stronę francuską. Tak wyglądała ówczesna sytuacja wojenna. Jednocześnie walczyć musiał Richelieu z bardzo poważnym niebezpieczeństwem wewnętrznym. Niepowodzenia wojenne Francji ośmieliły opozycję, której głowa, brat królewski Gaston Orleański, w r. 1636 porywa się do otwartego buntu. Na dworze królewskim opozycja ma oparcie w samej królowej Annie, Hiszpance z pochodzenia, która utrzymywała zdradziecką korespondencję z Hiszpanami, via Bruksela z dworem madryckim! Duszą nowego spisku przeciw kardynałowi jest groźna intrygantka, pani de Chevreuse. Stronników zjednuje sobie opozycja popularną wtedy krytyką polityki wojennej Richelieu'go i hasłami pokojowymi.

W tych warunkach powodzenie „Cyda" wydaje się kardynałowi politycznie podejrzane. Dzieło Corneille'a oparte jest na motywach hiszpańskich, sławi bohaterstwo Hiszpanów. Okłaskująca publiczność wyraża może w ten sposób sympatie ku Hiszpanom i protest przeciw polityce wojennej kardynała. Co więcej, niektórzy pono dopatrywali się w postaci bohaterki sztuki. Chimeny nieszczęśliwej królowej Anny, ofiary prześladowań okrutnego kardynała! Współczując z Chimeną, współczuli z losem królowej. Richelieu postanowił położyć kres tym demonstracjom politycznym. Dostrzegł, że sztuka ma usterki w temacie i w kompozycji. Oddał sprawę Akademii, której był twórcą i protektorem. Akademicy opierali się, lecz ulegli w końcu woli wszechwładnego kardynała; poddać się jej musiał również i Corneille. Wydając w listopadzie 1637 roku wyrok potępiający „Cyda", skrytykowano sztukę pod względem treści i formy (np. uchybienia w kwestji jedności czasu i miejsca). Akademia stała się narzędziem polityczny w ręku Richelieu'go. Nastraszony Corneille odtąd starał się w następujących swych sztukach sprostać wymaganiom Akademii: w szczególności, nauczony doświadczeniem, nie poruszał więcej tematów hiszpańskich. Do tej wersji sprawy „Cyda" dodawano jeszcze pewne warianty. Tak np. jednym z motywów wystąpienia Richelieu'go była zazdrość autorska: kardynał, który rzekomo miał sam próbować sił na polu sztuki dramatycznej, nie mógł znieść powodzenia Corneille'a i postanowił jego dzieło pogrążyć.

Podstawą tych wszystkich sądów było oświetlenie sprawy „Cyda" w książce Pellissona „Histoire de l' Académie française", wydanej po raz pierwszy w r. 1659. Spopularyzował legendę „Cyda" Voltaire, uznali ją za pewnik krytycznie oceniający Richelieu'go historycy francuscy XIX wieku, np. Michelet i Guizot. Powtarzano ją za nimi aż do ostatnich czasów (por. m. in. E. Lavisse'a, J. Boulangera, H. Hausera i inn.).

Sprawę „Cyda" przedstawił w zupełnie nowym świetle L. Batiffol w książce „Richelieu et Corneille", (Paryż, 1936), autor szeregu studiów z dziejów Francji XVII w. (ostatnio pięknej książki „Richelieu et le roi Louis XIII", Paryż 1934). Batiffol rozpatrywał sprawę stosunku Richelieu'go do Corneille'a w świetle źródeł i doszedł do niezmiernie ciekawych wyników, obalających całą legendę o prześladowaniu autora „Cyda" przez kardynała. Jakże przedstawia się sprawa „Cyda" w nowym oświetleniu Batiffola?

Cały Paryż przyjął z entuzjazmem dzieło Corneille'a. Podzielał ten entuzjazm Ludwik XIII i jego dwór. W zupełności do głosu opinii dołączył się Richelieu, który polecił trupie aktorskiej odegrać tragedię we własny pałacu (gdzie mieściła się sala dla przedstawień teatralnych, ze stałą sceną): w istocie aktorzy odegrali dwukrotnie sztukę przed kardynałem. W dwa tygodnie ledwie po premierze tragedii już wydał Richelieu pozwolenie na druk dzieła. To pierwsze wydanie „Cyda" zaopatrzył Corneille w dedykację, poświęcając swe dzieło siostrzenicy Richelieu'go, pani de Combalet. Co więcej, kardynał postarał się o nadanie szlachectwa ojcu dramaturga — on właśnie, a nie królowa, jak to chcieli zwolennicy dawnej legendy „Cyda", gdyż królowa Anna nie miała wtedy żadnych wpływów u króla! Corneille miał poza tym więcej jeszcze tytułów do wdzięczności wobec kardynała, od którego pobierał stałą pensję roczną.

Powodzenie „Cyda" wzbudziło jednakże zazdrość wśród innych dramaturgów paryskich, którzy, jak Scudéry, Mairet, nie mogli się ani dorównać Corneille'owi talentem, nie umieli jednak lub nie chcieli tego zrozumieć. W sferach swych kolegów po pirze był zresztą Corneille w ogóle niezbyt lubiany: trudny w obejściu, opryskliwy i szorstki, nadmiernie pobudliwy, zrażał sobie ludzi niepotrzebnie. W tych to sferach zaczęto teraz wyglaszać krytyczne uwagi o „Cydzie", z lubością wyszukując istotne czy domniemane usterki, z wyraźną tendencją pomniejszenia wartości dzieła i uszczknięcia wawrzynów autorowi. Gdy Corneille zasłyszał o tym, ujął za pióro i napisał napastliwą „Excuse à Ariste", w której, w pełnym poczuciu swej wyższości, bardzo pogardliwie potraktował całą plejadę zazdrośników. W ten sposób Corneille sam sprowokował walkę na pióra. Scudéry i Mairet podjęli ją natychmiast, posuwając się m. in. do twierdzenia, że „Cyd" Corneille'a nie jest zupełnie płodem jego oryginalnym, że jest naśladownictwem, a nawet wprost tylko przekładem sztuki hiszpańskiego autora, de Castro'a, p. t. „Mocedades del Cid". Corneille nie pozostał dłużny, wciągając nieroztropnie w walkę nowe osoby. Posypały się liczne broszury polemiczne, coś koło setki; szarpane wierszem i prozą coraz zajadlej dobre imię przeciwnika, ataki zeszły z platformy sporów literackich, a przybrały charakter walki osobistej. W tej sytuacji Scudéry odwołał się do opinii Akademii.

Członkowie Akademii byli zrazu mocno zakłopotani. Nie mogli jednak odmówić. — Akademia była dotąd przedmiotem ogólnych szyderstw i nie zdołała sobie wyrobić pozycji w opinii publicznej; jej statut choć istniała od roku 1634, dotąd jeszcze nie był zarejestrowany przez parlament paryski (stało się to dopiero w ciągu roku 1637). Musiała czymś swą działalność zaznaczyć. Pragnęła jednak znać opinię swego protektora w tej sprawie. Zwróciła się doń za pośrednictwem doradcy kardynała w sprawach literackich, Boisroberta. Richelieu dotąd tą sprawą mało się interesował, tym więcej, że miał właśnie wtedy moc spraw pierwszorzędnych na głowie, tak na terenie polityki zagranicznej i wewnętrznej (spiski opozycji, bunt chłopski w Gujenie), jak i na teatrze wojennym. Są pewne oznaki, że w sporze literatów sprzyjał raczej Corneille'owi. Teraz, gdy Boisrobert zapytał go o zdanie, polecił zająć się tą sprawą Akademii. Sądził zapewne, że w ten sposób wzmocni może pozycję Akademii. Corneille, który zrazu oburzał się na myśl sądu nad jego „Cydem", teraz poddał się temu.

Akademia po długich naradach ustaliła swą opinię o „Cydzie". Uwagi te przedłożyła Richelieu'mu do aprobaty; są niezbite dowody na to, że Richelieu szereg wyrażeń tej opinii zmodyfikował i to w sensie dla Corneille'a przychylnym, łagodząc zbyt ostre określenia. W listopadzie 1637 r. zostały ogłoszone głośne „Sentiments de l' Académie" w sprawie „Cyda". Urażony głęboko Corneille chciał polemizować z wyrokiem Akademii. I znowuż są dowody na to, że Richelieu wcale nie był temu nieprzychylny, a Corneille chciał swą odpowiedź zadedykować właśnie kardynałowi. W tym właśnie czasie Richelieu zainteresował się (z inspiracji Boisroberta) bardziej polemiką między literatami; ton jej zeszedł już na takie niziny, że adwersarze grozili Corneille'owi obiciem, niezgodni tylko w tym, czy mu zaaplikować 50, czy po prostu 100 kijów! — Wtedy Richelieu uznał, że należy położyć kres podobnej polemice: wzbronił Corneille'owi odpowiedzi na „Sentiments" Akademii, bojąc się, że walka przybierze jeszcze na zażartości i szersze obejmie kręgi. Nadal przecież dawał dowody swej życzliwości dla Corneille'a, kazał mu wypłacać pensję, ułatwił mu jego konkury małżeńskie. Corneille zawsze też widział w kardynale swego protektora. Na razie, zniechęcony sprawą „Cyda", zaniechał pracy pisarskiej. Gdy jednak ponownie ujął za pióro i napisał w roku 1640 „Horacjusza" („Horace") zadedykował go właśnie kardynałowi, z wyrazami pełnymi czci i wdzięczności.

Corneille więc nigdy nie uważał Richelieu'go za swego prześladowcę: rolę tę przypisała kardynałowi dopiero późniejsza legenda, podchwycili ją zaś następnie bez dokładniejszego zbadania pisarze XIX wieku, jako dogodny argument do pomniejszenia wielkości Richelieu'go. Człowiek na miarę Richelieu'go nie miał małostkowych ambicyj (Batiffol zresztą nie znalazł w źródłach śladu prób pisarskich Richelieu'go na polu dramatu), nie kierował się niskimi pobudkami zawiści, czy chęci zemsty. Występował zdecydowanie i karał bezlitośnie wtedy, gdy w grę wchodziły zasadnicze sprawy państwowe. Sprawa „Cyda" nie należała do takich spraw. Rozgłos polityczny nadała jej dopiero potomność. Batiffol przedstawił ją taką, jaką była naprawdę: sporem między literatami. Zgodnie z najnowszymi badaniami historyków francuskich[1], którzy w pełni doceniają znaczenie Richelieu'go w dziejach Francji XVII wieku, Batiffol odsłonił i na odcinku sprawy „Cyda" prawdziwego, wielkiego kardynała, rozwiewając legendę, skomponowaną przez jego pomniejszycieli.

[1] Por. Piwarski K.: „Kardynał Richelieu w świetle najnowszych prac historycznych", Przegląd Powszechny, 1936.

ALEKSANDER ŁUKIEWICZ

O skowronku polnym

W różnoraki sposób wiąże człowiek wydarzenia własnego życia z wydarzeniami w przyrodzie, nie mającymi na pozór z nim wiele wspólnego. A jednak wiąże, supła na nici żywota one supełki, jak gdyby paciorki nie kończącego się różańca lub stacyjki przy drodze, wiodącej do gdzieś w niewiadomej dali kresu, poza którym może kryje się poszukiwane i wiecznie wyglądane szczęście bez skazy. I rzecz dziwna — im ta nić bardziej szara i jakoby z lichszej utkana przędzy, tym więcej onych supełków drobnych i niepozornych, jak gdyby wydarzenia w przyrodzie, związane z nimi nie warte były czyjejś tam uwagi i ginęły w powszedniości dnia bez reszty i jak gdyby czyjaś delikatna dłoń chciała przecie jakoś urozmaicić biedną dolę niejednego człowieka.

Do takich wydarzeń, które dla jednych są niczym, a dla drugich pełną niespodziewanych wzruszeń chwilą, należy powrót skowronka polnego. Wiąże się z przylotem tego ptaka powrót nieokreślonych nadziei, które odeszły i wyczekiwanie czegoś, co zjawi się w niewiadomej godzinie i wniesie radość i zaufanie i odmieni dolę na lepsze. Bo tak już jest z duszą człowieczą, iż wiecznie tęskni za czymś i wiecznie czegoś się spodziewa i szuka onego ziszczenia się nadziei w każdym niemal drobiazgu otaczającej rzeczywistości.

Wyczekiwany zwiastun lepszej doli pojawia się u nas w najwcześniejszych dniach przedwiośnia, bo już niekiedy w pierwszych dniach marca, a przybywa z krain południowej Europy. Owe pierwsze dni pobytu na rodzinnej ziemi chłodne i często śniegiem pruszące, dokuczą ptaszynie niekiedy, zwłaszcza, gdy śniegi przywalą oziminy i trzeba pościć, nim coś się tam do zjedzenia ukaże. Ale Bóg dobry, pamięta o wszystkich i zginąć nie da. Zawsze tu i ówdzie wyłoni się parę piórek oziminy, które uszczknąć można i jako tako dotrwać do lepszego jutra.

Tym czasem piosenka trzeba sobie umilić i urozmaicić dni wyczekiwania i rozejrzeć się w okolicy, gdzie osiąść wypadnie, założyć gniazdo, wywieść młode i spędzić czas aż do odlotu. Więc podlatuje nie wysoko, rozgląda się i przysiada na tej, to na tamtej grudzie, coś sam ze sobą gawędząc i plany snując niewiadome. A gdy uradzi coś i postanowi, wzbija się pod niebo i nuci piosenkę o idącej wiośnie, pełnej błogosławionego szczęścia i płodnej nadziei i tęsknot, które ziścić się mają i przyoblec w nowe, młode ciało. I słucha tej piosenki wszelki zwierz i słucha jej człowiek, a każde z nich po swojemu, jak go na to stać i jak umie. W niejednej ludzkiej piersi wydźwignie się wówczas otucha, niejedne usta wyszeptają słowa o bliskim końcu udręki i niejedno biedne serce zabije mocniej i na wybladłej twarzy zapełga nikły, ale przecież rumieniec tajonej radości.

Upodobawszy sobie pewien obszar, obejmuje go w niepodzielne władanie. Bywają to jakoby udzielne, rozległe księstwa, do których broni zazdrośnie dostępu innym braciom skowronkom. Nie obejdzie się wówczas bez sąsiednich zatargów, a nawet kłótni i bijatyk do upadłego, dopóki któryś tam z nich nie postawi na swoim. Więcej w tych walkach szamotania się i tarzania się po ziemi, aniżeli sińców i szkody na ciele, za to dużo zgiełku i zacietrzewienia, o które takiego artystę trudno byłoby posądzić. Prawda, że niejedno piórko, wydarte w zapale, wiatr uniesie po polach, ale też i tyle całej krzywdy, którą sobie w onych bojach wyrządzą. Jednak to kłótliwe usposobienie i skłonność do bijatyk sprawia, iż z dala od siebie zakładają pielesze i nie tak licznie gnieżdżą się u nas, jakby mógłby ktoś przypuszczać.

Już z końcem marca składa samiczka do 5 jaj w jakimś dołeczku ledwie jako tako słomą, sierścią przygodnie znalezioną lub nawet korzonkami perzu wysłanym, wywodząc po dwóch tygodniach młode. Twarde to dzieciństwo onych piskląt. Trzeba przetrwać wiele trudnych chwil, znieść cierpliwie zimno, gdy starzy żeru poszukują i niewygodę i nie pieszczące się wiele, rychło pójść piechotą w świat szeroki, zanim skrzydła dorosną i dźwigną ciało ku błękitom. Bo „w domu" nie bardzo bezpiecznie i o nieszczęście nie trudno. Łasica, chomiki, lis nienasycony, wrona i sroka wypatrujące, coby pożreć lub dzieciom zanieść na gniazdo, zagrażają o każdej porze. A i kot i pies do polowań skorzy nie oszczędzą, choćby nie wiem jak błagał o litość i zmiłowanie. Nawet mysz polna, lękająca się własnego cienia, nie oszczędzi bezbronnego piskięcia.

Stąd to młode pokolenie rychło opuszcza gniazdo, bo zawsze w pojedynkę łatwiej ukryć się gdzieś przed okiem wroga, niż w gromadce wyczekiwać, co los zdarzy. Pełne trwogi, niepokoju i nadsłuchiwań pieśni ojca, zawieszonego w błękitach, mijają dni dzieciectwa i niejeden przyszły śpiewak ginie tragicznie, nim zdoła unieść się sam w przestworza i zanucić pieśń sobie samemu niewiadomą...

A tym czasem idzie wiosna wielkim krokiem po ziemi. Idzie i rozdziela szczodrą dłonią barwy mieniące się stokrotnie i wonie, rozkosz przyzywające z utajenia i dobrą nowinę niesie wszystkiemu, co żyje, co tęskni i pragnie i wyczekuje nieznanego cudu. I dzieje się ten cud między ziemią, a niebem, dla każdego inny jakoby, a przecież dla wszystkich ten sam, cud błogosławionego poczynania i narodzin życia. Po ziemi nosi się radość, wabiących uśmiechów

Rozrywki umysłowe Nr 13/52

Pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

Przy nadchodzących Świętach życzenia „Wesołego Alleluja“ zasyła wszystkim Czytelnikom i Przyjaciołom

Redakcja „Głosu Narodu“.

ZADANIA POZAKONKURSOWE.

Zad. 1. — Arytmograf aktualny.

ul. „Sumbra“.



Liczby tekstu należy zastąpić odpowiednimi literami, które otrzymamy po odgadnięciu słów pomocniczych, po czym odczytamy aktualne rozwiązanie.

Słowa pomocnicze:

1) 23, 8, 22, 19, 7, 21, 5, 22 = zamęt, hałas
2) 20, 8, 21, 5, 22, 5, 9, 10, 18, 7 = jest największy pianista współczesny
3) 3, 5, 14, 15, 14, 11, 4, 8 = drzewnik
4) 20, 22, 11, 16, 5, 18, 17 = plan, zamysł.
5) 12, 2, 1, 9, 2 = przyrząd sportowy
6) 11, 13, 6, 7, 11, 19, 7, 10, 17, 22, 4=puszkarz

ZAD. II — SZARADA WIELKANOCNA

ul. „John Ly, czł. Kl. Szar.

Chrystus **pięć** z grobu ciemnic,
by dzieło śmierci udaremnić —
wiernym na radość, wrogom na lament:
W tym wielkim **drugim-trzecim**
Boskością Syn Człowieczy świecił.
Resurrexit sicut dixit... Amen.

Ty się, człowiecze, **czwór-raz;**
Zgoiwszy w duszy czarci uraz,
w sumieniu **pierwszy** z Panem zmartwychwstań!
Serce niech **cztery-trzeci**
kędy zdrój **pierwszych** Bożych syci...
W nich najpewniejsza jest szczęścia przystań...

ZAD. III — SZARADA — MENU.

ul. „Kasta“ — czł. Kl. Szar.

Znów napłynęły Wielkie Święta
i mogą przybyć jacy goście...
(Już o zawodzie nie pamiętam.
Dla formy jednak mnie przeproście)

Szykować trzeba znów frykasy,
żeby zachęcić do podróży...
Jedzenie ma być pierwszej klasy:
Szykuję wybór potraw duży:

mięsiwa, postne, jarskie dania,
mazurki (**trzy-raz wspak** migdały),
mokki **czwór-piąta** do śniadania
dwa stary węgrzyn doskonały.

Zapasy kartoflanej mąki
(niech **raz do czwórki**) gość kochany*,
skórka, cynamon, pieprz, korzonki
chrzanu, gwoździki, imbier, anyż...

O rybie też nie zapomniałem.
(Niektórzy przepadają za nią).
To nie jest jeszcze menu całe:
resztę znajdziecie w rozwiązaniu.

*) raz-dwa-trzeciego czwartego.

ZAD. IV — SZARADA WRÓŻEBNA NA MARZEC.

ul. „Kasta“, czł. Kl. Szar.

Klejnoty-talizmany kapryśnego Marca,
zdobywane w czeluściach mrocznej tajemnicy,
wieźli w blasku księżyca smagli najemnicy
na żaglem oranżowym uskrzydlonej barce.

Wyciągały się po nie pożądliwe dłonie
wezyrów, odalisek, radżów i effendich
i radosne westchnienia witały je wszędy,
i **raz-sześć-dwa** się one na każdej koronie.

I Wschodu ulubionym są one klejnotem,
droższym niż byle diament, godniejszym niż rupia.
Pierwsza-czwarta w swym ręku handel nimi skupia
i w majątków ocenie stawia je przed złotem.

Trzy-czwór pięć (lepiej-tonem wróżby: **cztery-pięć-sześć**
z aspektu wciąż noszonych na sobie kanaków
można poznać już nawet bez innego znaku
omen **trzeci i drugi**, co nieszczęścia spiętrza.

Wraz z aurą, która groźbę tajnie rozpościera
i odporność wysysa zdradą nocnej zmory,
i amulet natychmiast traci połysk — chory —
nie świeci wnętrznym blaskiem — i z panem umiera.

Termin nadsyłania rozwiązania powyższych zadań upływa w dn. 23 kwietnia. Ważna data stempla pocztowego. Za bezbłędne rozwiązanie zostanie przyznana nagroda książkowa. Rozwiązania należy nadsyłać pod adresem **kierowniczki Działu** do Redakcji „Głosu Narodu“.

Dr EUG. JELONEK

Dwa listy „króla Stasia”

W Bibliotece po Kraszewskim w Orłowej[1]) na Śląsku Cieszyńskim znajduje się oryginalny list „króla Stasia“ do króla pruskiego Fryderyka Wielk. II i odpisy szeregu dokumentów tyczących się powstania Kościuszkowskiego (list Króla do Kościuszki, rozkazy Kościuszki, Dąbrowskiego i Wawrzeckiego). Charakterystyczne są oba listy królewskie. Podajemy je w całości. Odpis listu królewskiego do Kościuszki brzmi:

„List króla Stanisława Augusta do Kościuszki.

Przepisałem z oryginału dnia 12 listopada w 1858 r. w Charkowie.

Świadczę Antoni Stanisławski.

W Warszawie, dnia 16 czerwca 1794.

Mości Panie Naczelniku Siły Zbroyney Narodowey. Oddawca Listu niniejszego Synowiec móy Xiążę Józef Poniatowski, i samo przybycie Jego do Woyska i pod kommendę WPana, naylepiey Mu zaświadczą o chęciach i zamiarach Moich ku Dobru Oyczyzny i Sławie WPana nayżyczliwszych. Wiedząc jak każde momenta WPana są drogie, niebędę Go zatrudniał czytaniem długiego listu, ile że zupełnie się referuię do tego co Synowiec móy z zlecenia Mego ustnie opowie WPanu. Nikt goręcey nademnie życzyć niemoże naypomyślnieyszych WPanu sukcessów, i nikt nademnie szczerszego dla WPana niema szacunku i affektu. (Na oryginale własną ręką podpisano):

Stanisław August Król.

Na kopercie napisano): J. M. Panu Tadeuszowi Kościuszce Naczelnikowi Siły Zbroyney Narodowey. (List zapieczętowany prywatną pieczęcią króla)“.

List do króla pruskiego w oryginale francuskim brzmi:

Mon Sieur mon Frere

L'armée Polonaise Sous Le Commendement Du G-me Kosciuszko Separant Varsovie Du Camp de V M. La position De Varsovie n'est que Celle D'une Ville qui puisse Disposer De Sa redition. Dans cette Situation rien ne justifierait Les extremités affreuses Dont me previent V. M. Dans Sa Lettre. Car cette Ville n'est ni Dans Le Cas De L'acceptation ni Dans Celui Du refus a La Sommation qu'a fait parvenir Le Lieutenant general Des trouppes De V. M. Mr De Schwerin au Commendant De Varsovie.

mon existense ne m'interesse pas plus que Celle Des habitans De Cette Capitale, mais puisque La Providence a Voulu m'elever au rang qui me permet De manifester a V. M. Les Sentimens De Fraternité. Je Les invoque pour Detourner V. M. Des Ideés De Cruauté et De Vengeance Si Contraire a L'exemple que Les Rois Doivent aux Peuples (Je pence Sincerement) tout autant opposeésa Votre Caractere personel.

V. M. Voudra bien agreer mes representations, aini que Les Sentimens De la haute estime avec Laquelle je Suis

Mon Sieur mon Frere De V. M. Le bon Frere.

Varsovie, 3 août 1794.

List królewski — jak widać — zawiera kilka wykolejeń ze składni, błędy ortograficzne, względnie brak akcentów i niewłaściwe znaki pisarskie. Wszystko to w dokładnym odpisie zachowano. W polskim tłomaczeniu brzmi on:

„Mój Panie Bracie! Armia polska pod dowództwem (generalissimusa) Naczelnika Kościuszki oddziela (jącego sic!) Warszawę od obozu W. Kr. Mości. Położenie Warszawy nie jest tego rodzaju, żeby ona mogła rozstrzygać o swym poddaniu. W tym stanie sprawy nic nie usprawiedliwiałoby strasznych ostateczności, o których uprzedza mnie W. K. M. w swym liście, ponieważ to miasto nie może przyjąć, względnie odrzucić wezwania, które generał-leutnant wojsk W. K. M. p. von Schwerin kazał doręczyć komendantowi Warszawy (a może raczej... udało się doręczyć...?)

Moje życie nie obchodzi mnie więcej, niż życie mieszkańców stolicy, lecz ponieważ Opatrzności podobało się wynieść mnie na stanowisko, które mi pozwala wyrazić W. K. M. moje uczucia braterskie, odwołuję się do nich, aby odwrócić W. K. M. od myśli okrucieństwa i zemsty, tak przeciwnych przykładowi, jakie królowi winni narodom (myślę szczerze), tak bardzo przeciwnych Waszemu osobistemu charakterowi.

W. K. M. raczy przyjąć moje perswazje i zarazem uczucia wysokiego poważania, z któremi pozostaję, mój Panie Bracie W. K. M. dobry brat. Warszawa, 3 sierpnia, 1794“.

Oryginalny list królewski, pisany na papierze o gęstych liniach wodnych w poprzek i siedmiu podłużnych; z lewej strony znak wodny: orzeł z nastroszonymi piórami, w koronie, z berłem (połowa dolna obcięta); atrament czarny, miejscami już wypłowiały; karta 23×18, złożona w czworo, ale są ślady pierwotnego złożenia innego w kilkoro i zgięć bocznych.

List pierwszy, datowany z 16 czerwca, a więc już nawet po klęsce Kościuszki pod Szczekocinami, wyraża solidarność z powstaniem i pobrzmiewa akcentami szczerego uznania dla Kościuszki i jego szacunku, o którym świadczył już dawniej między innymi fakt, że po zwycięstwie Targowicy król chciał go zatrzymać w armii polskiej. Ale wtedy Kościuszko uniósł się wobec króla na „infamisów i zdrajców“ tj. targowiczan.

— Zostawmy im tę hańbę — odrzekł król, który chyba jednak mógł odczuć, że słowa te równie dobrze odnosiły się i do niego. — Wszak nie dawno przysięgał na Konstytucję i mówił: „Iuravi Deo, non me poenitebit“.

A jednak pożałował. I ta słabość charakteru, która mu nie pozwalała wytrwać przy dobrej sprawie, okazuje się i w drugim liście.

Odnosi się wrażenie, jakby król w obliczu niebezpieczeństwa w czasie oblężenia Warszawy (lipiec i sierpień 1794) uznał powstanie Kościuszki za przepadłe i na własną rękę chciał ratować Warszawę czy przede wszystkim — siebie.

Wyraźnie więc w liście nie solidaryzuje

(Ciąg dalszy na str. 8).

[1]) Obecnie większa część zbiorów znajduje się w Cieszynie (polskim).

KUPON Nr 13/52

ważny do dnia 23 kwietnia 1937 r.

pełna, skora do uniesień i zapamiętania w żywiołowym wybuchu...

W takie to chwile, żadną nieopowiedziane mową, podrywa się do lotu skowronek i trzepocąc skrzydłami, wzbija się w górę i rozpoczyna pieśń przedziwnego uroku pełną. Słyszy ją człowiek po wielekroć razy od marca po sierpień włącznie, a przecież znajduje w niej zawsze upodobanie, choć pieśń wydaje się ta sama. Mimowolnie dźwiga się głowa ku górze, oko śledzi i wypatruje śpiewaka, który zatonął w błękitach i ledwie go dojrzeć zdoła. Oto ta mała okruszyna, zawieszona w lazurze — to on, artysta z Bożej łaski. Z drobnej jego piersi płyną tony wiązane w coraz inne akordy, pełne mocy i metalicznego dźwięku. Człowiek patrzy i słucha i nasłuchać się nie może i pyta sam siebie, skąd dobiera mocy ptaszyna i na ten lot podniebny i na śpiew zapamiętały. I mówi sobie, że chyba w zapamiętaniu samym, które ogarnia duszę, kryje się niewyczerpane źródło mocy i że śpiew to potrzeba serca, to jego mowa. W śpiewie wyraża wszystkie wzruszenia, które go najdą — i gdy radość opłynie serce i ponosi i gdy noc urokiem nieopowiedzianym przeniknie na wskroś i obudzi tęsknotę za czymś, co nie ma imienia, ani nazwać się nie da i gdy gniew dławi i zazdrość dogryza i wszelki niepokój dręczy. Śpiewa nawet i wówczas, gdy lęk i groza zawisną nad nim i trzeba szukać ratunku i wybawienia od szponów kobuza, którego niczym nie ubłaga, choćby najserdeczniejszym śpiewem i najczystszym pięknem, chyba ucieczką w błękity. Śpiewa więc i uderzeniami silnych skrzydeł stara się wzbić jak najwyżej, unieść ponad drapieżnika i ocalić w ten sposób od śmierci.

Gdy pierwsze potomstwo podrośnie, zakładają „starzy“ nowe gniazdo i wywodzą drugie, a nawet trzecie pokolenie. — Łatwiej już wtedy o pokarm, bo wszelkich owadów sporo i młodych pędów roślinnych nie brak, a i jakieś nasionko przełknąć można od niechcenia. Więc w ciepłe i krótkie noce ten i ów ojciec, przysiadłszy na zbłąkanym wśród pól kamieniu, wyśpiewuje o swoim szczęściu ludziom i Bogu i całej przyrodzie. A gdy dzień zaświta, wzbija się ku niebu, zanuci i zwinąwszy skrzydła, spada stromo ku ziemi, by pożywić siebie i rodzinę i wytarzać się w piasku.

Tak upływa wiosna i lato w ciągłym ruchu i zapobiegliwej krzątaninie i zbliża się pora odlotu. Jeśli pogoda sprzyja, zwleka z opuszczeniem ziemi rodzinnej. W połowie jesieni, zaprzestawszy wszelkich kłótni i waśni, zbierają się poszczególne rodziny w coraz liczniejsze gromady, posuwając się etapami na Zachód i na Południe. W ślad za naszymi ciągną skowronki z krain północnych, odpoczywając na etapach po dni kilka, jak gdyby do nabrania rozmachu do dalszej wędrówki.

Na tych to postojach czatuje na nie różnorakie niebezpieczeństwo — to ptak drapieżny, to czworonóg uderzy raz po raz w stado i porwie znienacka Bogu ducha winnego śpiewaka. Niejedna rodzina okryje się żałobą, ale stratę przeboleje jakoś. Bo i cóż począć i co poradzić, skoro taki już porządek rzeczy na tym świecie. Wszak drapieżniki owe nie mordują dla uciechy lub wymyślnej zachcianki. — Więc godzą się jakoś z losem. — Gorzej bywa, gdy wśród naturalnych wrogów pojawi się najgroźniejszy ze wszystkich — człowiek. Wtedy chyba tylko ślepy przypadek lub sam dobry Bóg wybronić ptaszka zdoła od klęski. Chytry i okrutny podpatrzył i poznał zwyczaje skowronków i szlaki ich wędrówek i przygotował wszystko dla masowego połowu. A w każdym kraju czynią to inaczej. W Niemczech chwytają je w rozstawione sieci o zmierzchu, we Francji i Włoszech strzelają na różne sposoby, niekiedy bardzo wymyślne.

Giną ich w onych jesiennych ciągach setki tysięcy. — A padają ofiarą okrucieństwa człowieka, dla którego nie ma rzeczy dość świętych, gdy chodzi o materialną korzyść. Nie na naszej padają ziemi, lecz w obcych stronach, gdzie ludzie twardsze mają serca i bardziej łakome podniebienia. U nas nikt nie podniósłby ręki na śpiewaka Matki Boskiej. Z nim wiążą się przecie najserdeczniejsze uczucia, jego śpiew osładza trud pracy, a on sam stał się symbolem powrotu wiosny i zrósł się nierozłącznie z obszarem naszej wsi, jej uroku i trudu znojnego.

Od północnej Skandynawii aż po Gibraltar spotkać można „naszego“ polnego skowronka, unoszącego się ponad uprawnymi polami, łąką lub stepem. Wyjątek stanowią pewne krainy, w których nasz skowronek nie pojawia się, jak południowa Italia, Korsyka i Sardynia, Bałkany i Rosja południowa. Na tych obszarach żyją jego kuzyny, różniące się cośkolwiek wielkością i jaśniejszą barwą upierzenia.

W Azji, gdzie tylko klimat na to pozwala, żyją również, choć ornitologowie wyróżniają wśród nich rasy i nadają im osobne nazwy, jak np. w Turkiestanie i wschodniej Syberii: skowronek polny szary, mniejszy od naszego, na Kamczatce i Sachelinie skowronek polny pekiński itp. — Z innych części świata Afryka półn. może pochwalić się nim jako mieszkańcem od niepamiętnych czasów, zaś do Ameryki Północnej musiano go dopiero z Europy sprowadzić.

Stepowy to ptak ten skowronek, choć skacząc jak wróbel, w pierwszych dniach swego dzieciństwa zdradza, iż kiedyś — w odległych czasach, należał do mieszkańców lasu i prowadził żywot nadrzewny. Dziś włóczęga, miłujący szerokie przestrzenie, któremu niebo dachem, a twarda rola łożem, barwą szarą upodobniwszy się do ziemi, pragnie ujść licznych niebezpieczeństw. A choć życie dlań trudne, jak dla niewielu ptaków i śmierć z „ręki“ wroga grozi o każdej godzinie, przecież ufa, iż dobry Bóg nie da mu zaginąć, skoro powierzył jego pieczy skarb nad skarbami, piękno piosenki, radujące i dusze człowiecze i wszystko stworzenie, które piękno odczuwa i miłuje.

ŻYCIE RELIGIJNE

Przegląd spraw religijnych

Pisaliśmy niedawno o Czechosłowacji, jako kraju, w którym występują dość niepokojące objawy sympatyj dla Rosji sowieckiej. Wprawdzie oficjalne czynniki przeczą, by niebezpieczeństwo było realne, nie mniej jednak nie mogą zaprzeczyć szeregowi faktów, które dowodzą, że w republice czechosłowackiej jest dość dużo żywiołów zmierzających do zacieśnienia politycznych, a także i kulturalnych stosunków z Rosją sowiecką.

SYMPATIE CZESKIE DLA KOMUNIZMU.

Oczywiście — trzeba odróżniać... Inny charakter mają objawy politycznego zbliżenia do Rosji, a inny — dążność do zbliżenia na polu kultury. Pierwsze tłumaczą się względami politycznymi. Czechosłowacja jest zagrożona w swych granicach przez Niemcy i szuka oparcia o zewnętrzną potęgę. Z Polską nie może dojść do porozumienia, Mała Ententa nie przedstawia dostatecznej siły, więc zwraca się do Rosji. Tą przymusową sytuacją tłumaczą się jej ścisłe stosunki polityczne z Rosją, i także nieszczęśliwe pomysły, jak te, którym wyraz dał w swej książce p. Szeba... Zmiana politycznej konstelacji Europy zlikwiduje te nastroje.

Gorzej jest z sympatiami czeskimi dla Sowietów w dziedzinie kulturalnej. Kto im ulega? Znaczna część robotników, którzy należą do partii komunistycznej, — i, co jest ciekawe, związek nauczycielski... Związek ten — jak donosi „Slovak" — organizuje wycieczkę nauczycielstwa czechosłowackiego do Rosji w dniach od 27. marca (więc w samą Wielką Sobotę wycieczka ma wyruszyć) do 18. kwietnia. Nauczyciele mają zwiedzać szkoły sowieckie w Leningradzie, w Moskwie, w Charkowie, Odesie i Kijowie. Według „Slovaka" w wycieczce bierze udział 600 nauczycieli.

To jest naprawdę niepokojący objaw... W chwili, gdy cały świat sposobi się do decydującej walki z komunizmem, jest w Czechosłowacji grupa nauczycieli, którzy jadą „uczyć się" w Rosji sowieckiej nowych „metod wychowawczych".

WALKA Z BOGIEM W ROSJI.

W Rosji sowieckiej walka z religią nie słabnie wbrew optymistycznym horoskopom niektórych publicystów... Na Wielkanoc przygotowano w Leningradzie wystawę antyreligijną, nastawioną szczególnie na uroczystość młodzieży. Osobny pawilon zorganizowała młodzież z lenigradzkiego „Komsomołu" i chce w nim przedstawić rezultaty akcji bezbożniczej prowadzonej w szkole i w domu rodzinnym przez dzieci (!). Wyznaczone są nagrody pieniężne dla tych dzieci, które osiągnęły nalepsze rezultaty.

Przed pięciu laty przybył do Moskwy obywatel Stanów Zjednoczonych, murzyn, nazwiskiem Józef Parker. W r. 1933. „doktoryzował się" w stolicy Rosji na podstawie rozprawy p. t.: „Historia religii u murzyna". Ma to być „wspaniałe dzieło w duchu leninizmu". Dla nas jest o tyle ciekawe, że p. Parker wywodzi, iż praca misjonarska jest przeciwna „zasadom marksizmu". Otatnio p. Parker zrezygnował z obywatelstwa Stanów Zjedn., przyjął obywatelstwo sowieckie i ma objąć kierownictwo akcji bezbożniczej wśród murzynów.

Władze czerwonej armii faworyzują bezbożnictwo wśród żołnierzy. Instytut wydawniczy wojskowy w r. 1935 wydał 2 i ½ miliona egzemplarzy książek, periodyków i broszur poświęconych walce z religią, a w r. 1936. nawet 4 miliony. Na r. 1937. projektuje się 8 milionów.

Tak pracują ci, którzy chcą wykorzenić wiarę z serc ludzkich... A my?

PO ENC. PRZECIW KOMUNIZMOWI.

Enc. Piusa XI „przeciw bezbożnemu komunizmowi" z dn. 19. III b. r. jest dużą broszurą o 126 stronnicach w oryginale łacińskim. Zawiera szeroki i głęboki wykład doktryny komunizmu na podstawie pism Marksa i Lenina. Streszcza się w stwierdzeniu „absolutnej" niezgodności między katolicyzmem i komunizmem.

Jest rzeczą ciekawą śledzić reakcję kół socjalistyczno-komunistycznych na encyklikę. Reakcja ta dowodzi, że obóz socjalistyczno-komunistyczny liczy się poważnie z następstwami papieskiego pisma i że chce się bronić przed druzgocącymi argumentami encykliki.

We Francji przeciw encyklice wystąpiły zgodnie (!) komunistyczne, socjalistyczne i marksowskie (!) pisma. Oficjalny organ partii socjalistycznej (p. Bluma), „Populaire" twierdzi, że „nieomylny pamflecista papieski" nie zna marksizmu. Zaprasza papieża na kurs „szkoły socjalistycznej", by się dowiedział, że materializm Marksa jest sposobem wyjaśnienia zjawisk historycznych, a nie materializmem filozoficznym... Musi być jednak ta „szkoła socjalistyczna" prowadzoną przez ignorantów, bo Marks uczył, że — przyczyną sprawczą w dziejach są tylko i wyłącznie czynniki gospodarcze, a wszystko inne (sztuka, religia) stanowią zjawisko pochodne, czyli „nadbudowę" nad ekonomią. Uczył także, że wystarczy zniszczyć „budowę" gospodarczą (ustrój oparty o własność prywatną), by runęła także „ideologiczna nadbudowa". Czy to jest tylko sposób wyjaśniania zjawisk historycznych? Nie! To materializm filozoficzny, bo religię sprowadza do przyczyn gospodarczych.

Komunistyczna „l'Humanite" wyrzuca Papieżowi, że w encyklice „nie ma ani słowa o Niemczech". Musiała być niemile zaskoczona, gdy w parę dni później dowiedziała się o osobnym piśmie papieskim w sprawie stosunków właśnie w Niemczech... Poza tym komunistyczny organ uważa sobie za obowiązek wziąć Rosję sowiecką w obronę przed Papieżem i w tym celu powołuje się na nową konstytucję, która — pisze „l'Humanite" — „gwarantuje wolność sumienia"... Organ komunistyczny popełnił tu gaffę: wskazując na nową konstytucję, przyznał pośrednio, że przed nią wolności sumienia nie było w Rosji. Nadto „l'Humanite" użyła argumentu nie przekonywującego. Konstytucja gwarantuje swobodę bezbożnictwa, a nadto oficjalnym wyznaniem Rosji jest ateizm, wobec którego wolność wyznania jest mitem.

Pejot.

Dwa listy „króla Stasia"

(Dokończenie ze str. 7.)

się z — „generalissimusem" Kościuszką, pisząc o nim jakby o czynniku trzecim, który gmatwa położenie Warszawy i jej komendanta w stosunku do życzeń króla pruskiego i gróźb gen. Schwerina.

Kościuszko zignorował króla w czasie pobytu w Warszawie, król potajemnie przed Kościuszką — bo inaczej nie mógłby napisać takiego listu — porozumiewa się z królem pruskm i w poniżający sposób „wyprasza się" i tłumaczy, że Warszawa i jej komendant, a oczywiście chyba nie oni i nie kto inny, tylko król Staś, nie może — się poddać, bo na przeszkodzie stoi — armia generalissimusa Kościuszki. Strach obleciał już biednego króla Stasia i składa się przed królem pruskim, jak żaczek przed bakałarzem z rózgą.

Jużto godności osobistej nie miał Stanisław August za grosz.

Ale gorzej, poniżał przy tym naród polski, jak i w tym liście — Warszawę, bohatersko i z zapałem broniącą się przed wrogiem.

Czy list doszedł adresata, można wątpić. — Nie ma na nim nawet pieczęci, a tylko linie zgięcia, nie ma nawet podpisu zwyczajnego, tylko tytuł „dobrego brata" (może masoński?). — Ale — co najważniejsza, — czemuż nie znajduje się w aktach archiwum pruskiego, — tylko w rękach prywatnych?

Jednak treść tego listu kwalifikuje się chyba dość jasno, jako nieświadoma może — jak u tego amoralnego człowieka, — ale haniebna zdrada Stanisława Augusta.

MARIAN MANTEUFFEL

Zmartwychstanie

Mieszkańcy wielkich, ludnych miast stykają się zazwyczaj częściej niż ktokolwiek inny — ze śmiercią. Bo w samej rzeczy: na ulicach jakżeż liczne kondukty pogrzebowe, w kościołach ciągle nabożeństwa żałobne, na murach — na słupach — klepsydry, w dziennikach ogłoszenia o śmierci i rubryka nieszczęśliwych wypadków: zaczadzenia, zatrucia, samobójstwa, morderstwa. Ale dziwna rzecz: właśnie ci ludzie wielkich miast, spotykający śmierć na każdym niemal kroku, oni właśnie uciekają najzawzięciej przed cieniem śmierci, nie chcą o śmierci nic wiedzieć, boją się wprost mówić o niej i nigdy prawie o niej nie myślą. Wiedzą oczywiście, że kiedyś przyjdzie — ale na razie odsuwają wszelką myśl o niej jak najdalej, zagłuszają ją w sobie życiem gorączkowym, interesami, polityką, zabawą, robieniem kariery, robieniem fortuny, używaniem. Jakież dziwne rozmowy słyszy się nieraz na cmentarzach wielkich miast, tak nic nie mające wspólnego ze śmiercią, ani też ze spokojem zmarłych. Szalone tempo życia dzisiejszego może nieraz robić wrażenie, jak gdyby życie pragnęło iść ze śmiercią w zawody.

Ale śmierć gasi każde tempo. Staje na progu mieszkań — zarówno wytwornych, jak nędznych. Puka do drzwi hotelowego pokoju. W ciemny jesienny wieczór siada nieraz na ławce publicznego ogrodu. Wbiega pędem na piąte piętra klatek schodowych i spogląda stamtąd przez okno otwarte — na asfaltowe podwórko. Wpada pod tramwaje, auta i autobusy. Bierze udział w katastrofach kolejowych, na kopalniach i wielu innych na lądzie, wodzie i w powietrzu. Pędzi na złamany kark samochodami, wznosi się w powietrze z lotnikiem. I wszędzie gasi życia ludzkie — jak świece. Ale największe żniwo zbiera na wojnie.

A przecież... O ileż by życie ludzkie było głębsze — i czystsze — i promienniejsze, gdyby ludzie więcej myśleli — o śmierci.

Czy to paradoks?

Nie — najgłębsze przekonanie.

Bo śmierć, jak ktoś powiedział, jest tylko tunelem na stacji granicznej; po tamtej jego stronie — cudna, jasna kraina. Tam również spotka nas kiedyś — Z m a r t w y c h w s t a n i e.

Człowiek współczesny żyje przeważnie chwilą bieżącą. Z całokształtu tak bardzo skomplikowanych wydarzeń i zagadnień, które się składają na życie dzisiejsze, wyrywa najczęściej jakiś jeden tylko fragment, oświetla go z tego ciasnego, fragmentarycznego punktu widzenia, rozważa wszystkie pro i contra, zwalcza je, względnie popiera, wykreśla swój cel osobisty na tym ciasnym odcinku, rozprawia się ostro i bezwzględnie ze wszystkimi, którzy mu stają na drodze do urzeczywistnienia tego celu, nie sięga jednak nigdy — a jeżeli już, to chyba w bardzo rzadkich wypadkach — do tych najgłębszych przyczyn i założeń, które stanowią rdzeń danego zagadnienia, nie szuka tych przyczyn ani na dnie swej duszy, ani też w sferze zjawisk, które — jakkolwiek wychodzą po za jego „ja" — jednak z konieczności dotykają jego peryferii. Dlatego też człowiek współczesny, przeważnie ciasny i nie dość głęboki, unika myśli o śmierci.

Ale ktoś mądrze kiedyś powiedział, że niebezpiecznie jest żyć, nie otrzaskawszy się z myślą, że śmierć posiada klucz od drzwi naszych i w każdej chwili dnia i nocy może przed nami wyrosnąć, jak spod ziemi... Zdrową jest dla duszy częsta konfrontacja walorów życia ze śmiercią, gdyż to nadaje rzeczom ich normalny szacunek. Świat szacuje je najczęściej fałszywie.

Człowiek! — woła psalmista — Dni jego jako trawa: jako kwiat polny, tak przekwita on. Albowiem wionie nań wiatr, a nie ostoi się: ani rozpoznasz miejsca, kędy był.

Śmierć jest — jak wiemy — skutkiem grzechu pierworodnego i po jego popełnieniu jedyną drogą, którą przechodzi człowiek na tamten świat. Pan Jezus sam tej drogi ominąć nie chciał, choć mógł ją oczywiście ominąć. Zmartwychwstanie Pana Jezusa jest nie tylko Jego indywidualnym zwycięstwem nad śmiercią — jest ono jednocześnie zwycięstwem Zbawiciela świata nad zasadą śmierci w ogóle. Śmierć przestaje odtąd panować nad rodzajem ludzkim w swej dawnej roli piętna hańby, staje się natomiast — o ile się człowiek oczywiście chce do niej gotować — świętą ofiarą na ołtarzu służby Bożej i przejściem — do lepszego życia.

Czy śmierć jest straszną? Wiemy, że byli święci, którzy tęsknili za nią, wyciągali do niej ręce, oczekiwali jej z uśmiechem na ustach. Wiemy. Sądzę jednak, że dla przeciętnego człowieka sam moment śmierci musi najczęściej być straszny. Ciekawie pisze o tym strachu Georges Bernanos w swej oryginalnej powieści „La joie". Strach — powiada — jest pomimo wszystko Bożym dziecięciem, odkupionym przez Niego w ciągu nocy przed Wielkim Piątkiem. Wygląd jego nie jest pociągający — o, nie! Jedni z niego szydzą, inni nienawidzą, wszyscy się go wyrzekają... A tym czasem — ten strach — o, nie łudźcie się: on jest u wezgłowia każdej agonii, on się wstawia za człowieka przed Bogiem.

To jest pięknie powiedziane i jest w tym powiedzeniu głęboka myśl. Bo w samej rzeczy: ileż to win przebaczać musi dobry Bóg ludziom, w chwili gdy się przed Nim korzą w tym ostatnim, śmiertelnym strachu. Bóg jest w śmierci obecny. Ręka Boża jest równie widoczna, gdy odbiera człowiekowi życie, jak była oczywistą, gdy mu je dawała. Dlatego to pochylają się czoła i odkrywają głowy — przed Majestatem śmierci.

Życie jest poważne — to znaczy, powinno być brane poważnie, bo ma oczy utkwione w wieczność. Ale śmierć jest od niego poważniejsza, ponieważ tę wieczność rozpoczyna i o niej rozstrzyga. Nie pamiętam już gdzie i u kogo natrafiłem na te znamienne uwagi na temat śmierci, mówiące, że w szeregu mrocznych i wątpliwych godzin, które przeżywa każdy człowiek, choćby wiódł życie jak najbardziej puste i wesołe, jest jedna godzina, w której świadomość wyższego przeznaczenia przedstawia się nam jaśniej, a jego niepewność dręczy nas gwałtowniej. Jest to godzina ostatnia. I oto dlatego — chociażby życie było pełne zabawy i śmiechu — śmierć będzie zawsze poważna. Choćby lekkomyślność człowieka nie pozwoliła mu w ciągu życia ocenić odpowiednio swych czynów — chwila śmierci da mu z pewnością właściwą ich ocenę. To też tego dnia najbardziej nawet wesoły człowiek nie będzie się mógł śmiać — w żaden sposób.

Znowu ciśnie mi się na usta pytanie — czy śmierć jest straszna? Faktem jest, że może być straszna i bywa straszną z pewnością — ale czy musi nią być?

Widzą mi się ci święci, wyciągający do niej ramiona i oczekujący jej z uśmiechem na ustach. Widzą mi się szeregi nieustraszonych męczenników, umierających za wiarę od pierwszych czasów chrześcijaństwa aż po dnie dzisiejsze... To też wbrew pięknym słowom Bernanosa, cytowanym wyżej, dochodzę do przekonania, że strach nie musi być koniecznie u wezgłowia każdej agonii — nie, nie każdej.

Nie tylko święci potrafili przezwyciężyć strach przed śmiercią, nie tylko oni mogli jej pragnąć. Bywają ludzie — nie święci, a jednak prawdziwie pokornego serca i głębokiej wiary. Wiara góry przenosi. Wiara głęboka i czyste sumienie dają pokój wewnętrzny. Ten pokój, w połączeniu z łaską Boską, musi uśmierzać — tak zrozumiały skąd inąd w chwilach ostatnich człowieka — strach. I dlatego kończę rozważania moje słowami:

Jeśli się śmierci obawiasz, człowieku, przypadnij z pokorą wielką i miłością do stóp Chrystusowych — a strach twój rozpraszać się pocznie, jak rozprasza się mgła nad łąkami w słoneczny letni poranek...

Aż rozproszy się kiedyś doszczętnie — w złotym słońcu Zmartwychwstania.

Z obcej niwy: Sprostamy...

Francuski miesięcznik katolickiej młodzieży, „En marche" (W drodze), przynosi piękną i entuzjastyczną afirmację życia z jego walkami o ideał i z jego trudnościami. W chwili, kiedy ludzi — zwłaszcza we Francji — zalewa żółć pesymizmu, i kiedy im ręce opadają na widok zła, — przeczytajmy sobie wyjątek z tego krzepiącego, prawdziwie młodego, artykułu!

„Nie myślimy — pisze „En marche" — odwracać się tyłem do problemów życiowych, ani stosować formułki starej i bardzo swego czasu popularnej piosenki francuskiej: „bawmy się"; gdyż postawa taka dogadzać może jedynie zblazowanym jednostkom krótkowzrocznym i nie użytecznym.

Ale upatrywanie z uporem w życiu obecnym jedynie czarnych plam i dowodzenia, że żyjemy teraz w jakimś impasie, który zakończyć się musi ruiną, klęską i rozpaczą, a w rezultacie oczekiwanie wypadków z nadstawionym grzbietem, nie jest również postawą prawdziwie młodzieńczą.

My młodzi nie boimy się życia, jakiekolwiek przyjdzie. Weszło nam już w zwyczaj śpiewanie na wszystkie tony refrenu: „zycie jest piękne". A dla nas jest ono jeszcze o tyle piękniejsze, o ile zawiera więcej ryzyka, o ile przynosi nam ze sobą walkę, o ile żąda od nas więcej poświęceń! Dlaczego?

Ponieważ jesteśmy chrześcijaninami. Źródło naszego optymizmu wypływa z Boga. On główn ie kieruje całą tą grą. Wobec tego wszystko musi dobrze wypaść. Metody Jego nie są bez kwestii metodami ludzkimi (całe szczęście); są one wprawdzie nieraz surowe i bezwzględne... (ale czyż On sam nie wydał swego Syna na śmierć, aby zbawił świat?). Bóg jednak wie, „o co tu chodzi", bo przecież nie chodzi o zdobycie pieniędzy, lecz nieba, ani o odbudowę raju ziemskiego, ale o przygotowanie prawdziwego raju, nie chodzi też o budowanie szczęścia z wszelkiego rodzaju uciech ziemskich, które prędko mijają, lecz o realizację prawdziwego szczęścia, szczęścia duszy — które znalazło swego Boga i pragnie Go zatrzymać.

Jesteśmy młodzi i wiemy dobrze, że przyszłość ziemska, kraju, zależna jest od planów Boga, a w ogóle przyszłość leży w nas. Jak wszyscy młodzi czujemy się stworzeni do wielkich rzeczy. Czy będzie to ocalenie kraju naszego lub świata całego za cenę krwi, jak to przypadło w udziale naszym braciom z lat 1914—1918 i braciom męczennikom wszystkich wieków. Czy ceną tą będą wielkie i długotrwałe bolesne i nieznane, wysiłki... sprostamy"...